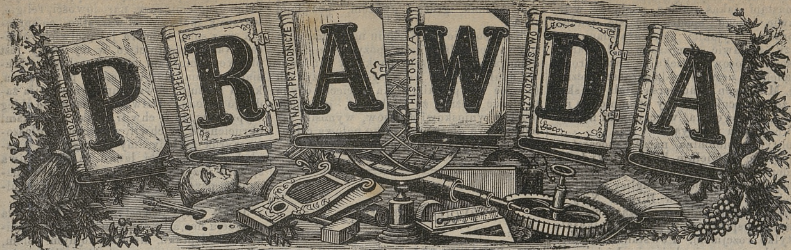
№ 43. Warszawa, dnia 23 (11) Października 1886 r. Rok VI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CHWILA OBECNA.

Ile razy gazety europejskie rozpoczną kłótnię o skórę bułgarskiego barana, zdaje się, że słyszymy sprzeczkę „rycerzów przemysłu," z których każ ly ma pełne usta sromotnych tajemnic przeciwnika. W tej gorszącej kłótni z powodu Bułgaryi przeczytano rachunek sumienia także Anglii. Głosisz — wołano — niepodległość i swobodę ludów półwyspu Bałkańskiego, a u siebie w domu dusisz Irlandyę. Czemuż tam cię opuszczają wzniosłe zasady? Trzymasz w męczeńskiem jarzmie naród pobratymczy, mający świetną przeszłość, siły do życia i rozwoju samoistnego, pragnący żyć z tobą w zgodzie i tylko zachować swą istotę, język, religię i obyczaje, a upominasz się o zupełne wyzwolenie dzikiej gromady — gdzie tu logika, gdzie uczciwość. Taką naukę dały Anglii gazety rosyjskie, a zwłaszcza *Mosk. Wiedomosti*, oburzone na John Bulla, że w oku brata dostrzega źdźbło a w swojem belki nie widzi. Godzimy się zupełnie i bezwzględnie na etykę *Mosk. Wiedomosti*, wywiedzioną z tego wypadku, i przyznajemy, że nigdy chyba nie oświetliła się lepiej zasada dwu miar politycznych. Państwo, które — jak np. Anglia — u siebie uprawnia gwałt i ciemięstwo, za granicę wywozi idee swobody, tolerancyi i szacunku dla drobnych narodowości. Na czem właściwie państwo takie się wspiera, czem się rządzi, co jest jego dogmatem, przykazaniem? Interes, zdobycz, korzyść, całe samolubne rodzeństwo, które widzimy, zdzicza i upadla Europę. W tym odmęcie nie ma żadnego pierwiastku czystego, ajeśli jaki powtarza się stale i przenika wszystkie czyny, to tylko instynkt łupieżczy. Czy wobec tego instynktu, przebierającego się czasem w szaty miłości dla bliźnich, można odnaleźć moralną dla świata oporę?...

Tenże sam tuman kurzu na biegunie przeciwległym. Gazety doniosły o spisku anarchicznym w Wiedniu. Czy miano wysadzić w powietrze pałac cesarski, czy też nie — mniejsza, dość że chciano rabować, bo rabowano. Uśpiono chloroformem i obłupiono zamożnego szewca, próbowano za pomocą mundurów policyjnych podebrać miód pieniężny z ula bogatej wdowy, słowem — gdy jedna ręka ściskała gardło, druga zatapiała się w kieszenie „burżuazyi."

Nie pierwszy to raz dynamit występuje jako ciało, złożone z troski o los „wydziedziczonych," z poświęceń, zbrodni i kradzieży. Ten związek chemiczny, który utworzył się w najnowszym pokładzie cywilizacyi, ukazywał swą niszczącą siłę niejednokrotnie. Rozbierając go, szukamy pierwiastków moralnych i znajdujemy mocno pomieszane ze zgnilizną. Więc i on zdrowiu ludzkości nie służy, więc i on jest trującym, więc i ci prorocy przyszłego raju pod płaszczami apostołów i męczenników kryją sztylety mordercze i sakwy do zbierania łupów.

Z tego zaćmienia się gwiazd, które dotąd przewodniczyły, z tego pomieszania się błękitów, chmur i mgławic, z tego chaosu od bieguna do bieguna pada na ziemię mrok, w którym ludzie błądzą, zdejmując kielzna złym popędom. Przykład rozpusty sumienia przenika do warstw najniższych i wywołuje tam orgię najgorszych instynktów; cała ludzkość przyzwyczaja się do moralnego bezrządu i bezprawia. Badacze rozwoju etycznego zastanawiali się nad tem, czy jest jakakolwiek reguła powszechna, obowiązująca całą ludzkość. Pytanie to można dziś postawić Europie.

Jedni pragną wojny dla zrzucenia pancerza militarnego, drudzy — dla zakończenia dręczącej niepewności; ale chyba najpotrzebniejszem jest wyładowanie się chmury dla oczyszczenia powietrza z miazmatów moralności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rezultaty wyborów do zgromadzenia bułgarskiego są już dokładnie wiadome, stronnictwo Cankowa liczy 27 posłów z ogólnej liczby 590. Tymczasem pomimo tego tryumfu regencyi, okazuje się według ostatnich wiadomości, że partya przychylna Rosyi zaczyna występować coraz śmielej. Wykryto nawet spisek, którego uczestnicy zamierzali wywołać powstanie zbrojne, co doprowadziłoby musiało do wmieszania się Rosyi; wtedy bowiem zniknęły wzgląd, dla którego prasa rosyjska uważa okupacyę za niemożliwą. Wojnę bratobójczą stoczyliby sami bułgarzy, wojska rosyjskie zaś wystąpiłyby w roli rozjemców. Nawet w łonie partyi rządzącej zaczyna przeważać kierunek pojednawczy. Karawełow, jak wiadomo, przechylił się ostatecznie na stronę Rosyi, wskutek czego Stambułow i Mutkurow usunęli go zupełnie od władzy. Ale i pomiędzy ministrami bierze górę zdanie, że postawiwszy na swojem w sprawie wyborów, należy teraz starać się o przywrócenie dobrych stosunków. Postawienie kandydatury Battenberga ma być stanowczo zaniechanem, zwłaszcza że mocarstwa oświadczyły podobno jednogłośnie (a więc i Anglia), iż na wybór jego ponowny zgodzić się nie mogą. Zgromadzenie wybierze każdego kandydata, zaleconego przez Rosyę, z wyjątkiem tylko księcia Czarnogórskiego i Piotra Karageorgiewicza. Tak przynajmniej zapewnia obecny rząd bułgarski. Zdaje się jednak, że te usiłowania pojednawcze nie będą uwieńczone pomyślnym skutkiem. Generał Kaulbars bowiem oświadczył w imieniu Rosyi, że od chwili dokonania wyborów wszystkie działania rządu bułgarskiego i zgromadzenia narodowego uważane będą za nieprawne. Rosya nie uznaje legalności zgromadzenia, prawdopodobnie więc nie przedstawi mu swego

kandydata, i każdy wybór odrzuci. Chyba, że nastąpi jakaś zmiana poglądów w tej sprawie, czego spodziewać się trudno. W prasie rosyjskiej przeważa zdanie, że należy zostawić tymczasowo bulgarów własnemu losowi, oczekując, aż zdrowy rozsądek i uczucie wdzięczności wezmą górę. Misya gen. Kaulbarsa miała ten skutek, że wzmocniła jakoby stronnictwo rosyjskie, trzeba czekać więc, dopóki nie nastąpi pożądana reakcya.

Polityka kolonialna naraża mocarstwa europejskie na wielkie kłopoty i wydatki. Wiadomo, ile krwi i pieniędzy kosztował Francyę Tonkin, obecnie anglicy wdali się w podobną awanturę w Birmie. Niby to dokonane ostatecznie w początkach roku bieżącego, uspokojenie tego kraju okazało się tylko rozejmem. Powstanie wkrótce wybuchło znowu i obejmuje dzisiaj cały zabór angielski. Szczupły garnizon utracił w ciągu ostatnich tygodni 1,500 ludzi — słowem położenie jest bardzo krytyczne.

Gorzej jeszcze wyjść mogą włosi, którzy kosztem wielkich ofiar założyli kolonię w Massawie, na wschodniem pobrzeżu Afryki. Sąsiedztwo ich nie podobało się odrazu abisyńczykom, ci ostatni jednak do czasu powstrzymywali swą niechęć. Teraz jednak negus abisyński zebrał dosyć znaczne wojsko i zamyśla rozpocząć wojnę z Włochami. Utrzymanie lichej kolonii może zatem pociągnąć wypadki, stokroć przenoszące jej wartość, o podboju zaś Abisynii chyba teraz włosi nie marzą, ponieważ inne państwa nie pozwoliłyby na to.

Francya pokutuje za swe zamorskie wyprawy wzrastającym w budżecie niedoborem. Obecnie właśnie z powodu projektów pokrycia tego niedoboru wynikło nieporozumienie pomiędzy Izbą i ministrem skarbu. Radykaliści żądali wprowadzenia podatku dochodowego, minister zaś był temu przeciwny i podał się do dymisyi. Nie jest to jednak wcale przesilenie gabinetowe, nawet bardzo być może, że ten sam minister powróci na poprzednie stanowisko, jeżeli Izba wyrazi mu zaufanie.

W Indyach wybuchły dosyć poważne rozruchy pomiędzy braministami i ludnością mahometańską; największe rozmiary przyjęły one w Delhi, gdzie indusi wrzucili do meczetu... świnię. Z tego powodu zawrzała na ulicach zacięta walka, której anglicy przyglądali się z boku, zachowując ścisłą neutralność, ażeby nie narazić się żadnej stronie. Zaburzenia powtarzają się ciągle, dla rządu angielskiego nie są one jednak groźne, owszem, pożądane może.

Koło polskie w Wiedniu na posiedzeniu prywatnem odrzuciło propozycyę czechów, domagającą się, ażeby banknoty państwowe miały napisy we wszystkich językach (a więc i w polskim). Na pociechę chyba to dodać można, że większość, głosująca przeciw wnioskowi czechów, wynosiła zaledwie dwa głosy i że tylko połowa członków Koła była obecną na na posiedzeniu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OSTATNI PSALM ŻYDOWSKI.

Czego nie wynaleźli mechanicy, to wynaleźli socyologowie pośledniego gatunku. „Kwestya żydowska“ stała się u nas istotnem „perpetuum mobile“ nie przez swą treść, która do poważnych rozmyślań materyału dostarcza, ale przez formę zwykłego jej rozwiązywania. Niemcy nazywają pewne przedmioty dziennikarskich rozpraw „Nothartikel“ — artykułami od biedy... redakcyjnej, służącymi do zapełnienia szpalt pustych. Takim wiechciem do zatykania dziur jest właśnie u nas „kwestya żydowska,“ ciągle spoczywająca w szufladce pism i wydobywana w braku czegoś lepszego. Posiada ona ten nieoszacowany dla prasy przymiot, że zawsze nią można tak lub inaczej roznamiętnić szerokie koła czytelników, chociażby ją powtarzano bez zmian jak bajkę o „czapli na wysokich nogach,“ chociażby do opowiedzenia jej stanęli Jowialscy. Słyszeliście? Słyszeliśmy. Więc... posłuchajcie — i znowu *da capo*.

Pod miechami wielkiej kuźni, w której dziś są kute oręże walki prześladowczej, rozpaliło się w mocnym ogniu i to żelazo. W kuźni owej i my bezwiednie znaleźliśmy się ze swoim młotkiem. Zasłaniamy sobie oczy złudzeniem, że w wielkim dramacie walk polityczno-społecznych gramy tylko rolę ofiar, podczas gdy nieraz mimo woli i wiedzy mieszamy się swym głosem do chóru prześladowców. Byłoby to nawet szczególnem, gdyby nasze myśli i uczucia oparły się gwałtownemu prądowi, który unosi najoświeceńsze narody i najrozumniejszych ludzi, który wściekłym huraganem pędzi przez całą Europę, rozbijając jedne drugiemi: rasy, narodowości, religie, warstwy społeczne — wszystko, co sprzecza się z sobą i ściera jakąkolwiek różnicą. Nasze uczestnictwo w tej burzy jest objawem smutnym, ale naturalnym. Musiała nam na mózgi i serca paść zaraza, która grasuje powszechnie i nie omija żadnego narodu. Dziwny to zapewne zbieg wypadków, że w chwili pruskich nad nami okrucieństw, w chwili gdy nam wygłoszono wyrok zagłady, my rozmyślamy o zagładzie innych; ale łatwo te dwa ogniwa spoić w przyczynowy łańcuch samem badaniem psychologicznem epidemij moralnych.

Jeżeli tedy „kwestya żydowska“ była zawsze u nas, albo ślepą szkapą w dziennikarskim deptaku, albo spokojnym osłem, na którym dzieci prasy jeździć się uczyły, to dziś jest ona starym mułem, wprowadzonym do bagna dla nakarmienia żywą krwią pijawek. Muł ów jęczy i wzdycha, chciwi wrażeń mocnych świadkowie przypatrują się jego cierpieniom — ot i cały rezultat drażniącego widowiska!

Czemu tak skąpy? Boć to nie jest praca naukowa, ale zwykłe gospodarskie żywienie istot głodnych. Tego przedmiotu rzadko dotykają uczeni i bezstronni badacze zjawisk społecznych, lecz ochotnicy i stroiciele ludzkich namiętności. Ten chce tak krzyknąć, żeby go daleko słyszano, ów chce wydoić publiczną krowę do swej kieszeni, więc wali żydów po karku lub głaszcze im brody — tą samą ręką i metodą, co przed stu laty. Ani kije i baty, ani umizgi i pochlebstwa, nie zmieniły się wcale. *Perpetuum mobile* porusza się dawną siłą i ciągle, a tkwiąca w niej „kwestya“ stoi na miejscu, obiegając jedynie kółko maleńkiej średnicy.

Rodzą się dzieci bez rąk i głowy, ale nie rodzi się u nas pismo bez „kwestyi żydowskiej.“ Może mu braknąć wszystkich innych organów — ten być musi odrazu rozwinięty do „zajęcia odpowiedniego stanowiska.“ Pierwszem pytaniem, na które noworodek prasy winien odpowiedzieć przy chrzcie, jest: co myśli o żydach. Było więc to najzupełniej zgodnem z tradycyą, gdy w kołysce nowego tygodnika odezwał się głos o „kwestyi żydowskiej“ z ust — lekarza. Zwyczaj zachowany został całkowicie, tem świeciej, że natychmiast wiecznego tułacza wciągnięto do szerokiej dysputy i nakarmiono go odgrzewanym bigosem.

3)

POWIEŚĆ.

BITWA POD WATERLOO

przez

Aleksandra Kiellanda.

— Ney rozpoczął atak z właściwą mu nieustraszoną odwagą. Ale angielska kawalerya rzuciła się na francuzów, złamała ich szeregi i odparła ze stratą dwóch orłów i wielu armat. Milhaud śpieszy ze swoimi kirasyerami na pomoc, a sam cesarz poznawszy niebezpieczeństwo, spiąwszy ostrogami konia, pędzi naprzód przez płaszczyzny Belle-Alliance.

Kapitan odbiegł kilka kroków i skoczył nieco na bok, niby koń w galopie, opowiadając tymczasem, jak cesarz pędził konno, nie zważając na żadne przeszkody, wojsko Neya znowu do porządku doprowadził, i kazał mu się uszykować do nowego ataku.

Czy to dlatego, iż kuzynek Jaś był kawałkiem poety, czy też opowiadanie kapitana było tak żywe, czy też — i to najprawdopodobniejsze — dlatego, że kochał córkę kapitana — dość, że był w zupełności porwany sytuacyą. Nie widział już teraz komicznego kapitana, który skoczył na bok, ale ujrzał przez dym prochu samego cesarza z czarnemi oczami, na białym koniu, tak jak go znamy ze sztychów. Pędził przez rowy i krzaki, przez ogrody i pola a świta jego ledwie za nim nadążyć mogła. Spokojny i zimny siedział na siodle, w pół rozpiętym surducie, w białych spodniach i małym trójgraniastym kapeluszu. Twarz jego nie miała wyrazu ani zmęczenia, ani też naprężenia — blada i gładka jak marmur, nadawała całej postaci w skromnym mundurze, na białym koniu, cechę wzniosłą, zmieniając ją na pół-widmo.

Tak pędził naprzód ten mały, krwawy potwór, który w trzy dni trzy bitwy stoczył. Wszystko mu z drogi ustępowało — uciekający chłopi, oddziały wojska w pełnym marszu, a nawet ranni i konający usuwali się, spoglądając na cesarza z trwogą i podziwem. A on, jak zimna błyskawica, pędził koło nich.

Zaledwie się ukazał żołnierzom, a porządek sam z siebie był odrazu przywrócony. Chwilę potem niezmęczony Ney mógł znowu wskoczyć na siodło, aby ponowić atak.

I tym razem, pobiwszy anglików, zajął folwark La Haie-Sainte.

Napoleon zatrzymał się znowu pod Belle-Alliance.

— A teraz przybywa ze wschodu Bulow — ot tu z pod ławki; cesarz wysyła przeciw niemu generała Mouton. O w pół do piątej (bitwa rozpoczęła się o pierwszej) Wellington usiłuje Neya wyprzeć z La Haie-Sainte. Ten jednakże zrozumiał, że wszystko teraz od tego zależy, aby zająć las — tu w piasku — koło brzegu trawy.

Kapitan rzucił rękawiczkę na oznaczone miejsce.

Ney wzywa do pomocy brygadę rezerwy z kirasyerami Milhauda i uderza na nieprzyjaciela. Wkrótce na szczytach ukazały się jego wojska—w otoczeniu cesarza wołano: *Victoire!*

— O godzinę już za późno! — odrzekł Napoleon. Ale widząc tymczasem, że marszałka w tej nowej pozycyi męczy bardzo ogień nieprzyjaciela, postanowił pobiedz mu na pomoc, niwecząc jednocześnie Wellingtona. Aby ten plan wykonać, wybrał sławnych dragonów Kellermana i ciężką kawaleryę gwardyi. Teraz następuje jedna z najważniejszych chwil bitwy. Musisz pan przejść na pobojowisko.

Kuzynek Jaś natychmiast podniósł się z ławki i zajął wskazane przez kapitana miejsce.

Ani kosztować bigosu, ani ponownie badać zmęczonego tułacza nie mamy zamiaru; pragniemy tylko oświetlić pewien fakt społeczny, który w tym występie się odsłonił. Ów lekarz „wziąwszy — jak powiada przesłany nam protest kilku jego współplemienników — „w jedną rękę krzyż a w drugą rodały" — głosi ewangelię miłości wzajemnej, a swoją odmienność tak tłomaczy:

„Jestem żydem i *żadne pobudki* nie byłyby zdolne skłonić mię do zmiany religii już z tego względu, że uważam wierzenie religijne za sprawę czysto osobistą, najwewnętrzniejszej istoty ducha dotyczącą."

Z tych słów zdawałoby się, że je dumnie i śmiało rzuca wierny wyznawca Starego Zakonu. Ale czytajmy dalej:

„Zrozumieć nie mogę, jak odziedziczona religia wpływać może na ograniczenie *naturalnych* (? chyba społecznych) praw człowieka lub mącić sąd o wartości jego istotnej. Gdybym więc w celu uzyskania lepszego o sobie sądu (? zapewne cudzego), lub dla osiągnięcia jakichkolwiek praw i przywilejów zmienił wiarę — skłamałbym mej *zasadzie*. Wolę znosić największe chociażby ograniczenia, a czekać *chwili wielkiej*, w której zwycięży swoboda myśli i sumienia, w której etyka wyzwoli się z *więzów religii*, w której sądzić będą jednostki z jej (?) czynów, a nie wedle oderwanych cech *sztucznie* tworzonych kategoryj...

Jestem żydem i *jako taki* przedmiotem częstej wzgardy i nienawiści, ofiarą uprzedzenia i stronnego sądu, a jednak sądzę, że nie *szemranie*, nie *odwet*, nie nienawiść, ale wielkie owe słowa Mojżeszowe: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego," które potwierdził Chrystus, winny być godłem życiowej rodziny Mojżesza i Chrystusa."

W tym znowu bardzo zmąconym wylewie uczuć, w którym obok siebie pływają najostrzejsze sprzeczności, w którym „sprawa *najwewnętrzniejszej* istoty ducha dotycząca" nazywa się „kategoryą *sztucznie* tworzoną z cech oderwanych," autor wyznaje, że „jest żydem" z „zasady" i tylko „czeka wielkiej chwili," kiedy po „wyzwoleniu się etyki z więzów religii" zostanie— kim? Swej przyszłej; „kategoryi" naturalnej nie nazwał, my jej odgadywać nie będziemy, tylko sprobujemy dowieść jemu i wszystkim pokrewnym mu śpiewakom ostatniego psalmu żydowskiego, że na ową „wielką chwilę" niepotrzebnie „czekają," bo ona już nadeszła.

Przedewszystkiem zważyć trzeba, że „kwestya żydowska", jak wogóle każda społeczna, nie stanowi określonego zrównania algebraicznego, jednakowego dla wszystkich, którzy je rozwiązują. Dla klerykałów jest ona religijną, dla szlachciców—religijną i rasową, dla kapitalistów — ekonomiczną, dla demokratów i wolnomyślnych — cywilizacyjną. Każdy z tych żywiołów inaczej ją pojmuje i czego innego od niej chce. Otóż co przez swoje „żydowstwo" rozumie autor przytoczonych ustępów i czego żąda od swego otoczenia? Jest religijnym? Nie, bo choć pokłony bije Mojżeszowi, „czeka chwili, w której etyka wyzwoli się z więzów religii." Jest semitą? Jest, ale tego największa „chwila" nie zmieni. Więc o co mu chodzi? O to, żeby jego wyznanie, które jak łuskę zrzucił w księgach rabinatu i policyi, i pochodzenie, którego żadną wodą święconą nie zmyje — miłowali i uszanowali wszyscy, do innych ksiąg zapisani i z innego pnia wyrośli. Alež ci nie są gromadą jednorodną, lecz tworzą różne odłamy. Jeżeli zatem psalmista wymaga braterstwa od księży, arystokracyi, szlachty itd., to ręczymy mu, że nigdy nie doczeka tej „chwili," w której oni żydów kochać będą, tworząc „rodzinę Mojżesza i Chrystusa." Jeśli zaś ma na myśli tych, w których sumieniu „etyka wyzwala się z więzów religii," to chyba ich wokoło siebie widzi i na „wielką chwilę" czeka bezpotrzebnie.

Nie przeczymy, że wzgarda — odpowiednio do stosunku żywiołów — jest u nas szafowaną żydom daleko szczodrzej, niż szacunek. Lecz czy krzywda ich może być uważaną za wyjątkową, czy równa nienawiść nie występuje w „rodzinie Chrystusa?" Polacy są tępieni, wyganiani i ograniczani w prawach przez niemców, katolicy—przez innowierców, demokraci—przez arystokratów — słowem, zacięta walka wre na innych polach. Żydzi są łżeni, pomawiani o występki, szkodliwość dla kraju itd. A jakimi to przysmakami częstowano naszych postępowców w korespondencyach zagranicznych i przygryzkach miejscowych? Czy im nie odmawiano patryotyzmu i uczciwości. Przed laty kilkunastu zaznaczono publicznie odezwanie się pewnego zachowawcy, który nie mogąc znaleźć w przedpokoju swego palta, rzekł do gospodarza domu i do towarzyszów: „przecież tu nie było między nami pozytywisty." Dotąd przypuszczać wolno, że niejeden hrabia wolałby widzieć u siebie Mośka niż radykała z „Chrystusowej rodziny," a każdy gorliwy ksiądz więcej klątew rzuci na bezwyznaniowców, niż na żydów. *Przegląd katolicki* jest *Rolą* dla wolnomyślnych. Gdzie tu więc wyjątkowość nienawiści i wzgardy, opiewanej w psalmach żałosnych i pokutnych oświeconego Izraela?

„Żydem jestem i żydem być nie przestanę" — dla kogo ten wykrzyk i co on znaczy w ustach polaka, który ze Starego Zakonu zachował tylko miłe wspomnienia? Zarówno bowiem dla fanatyków, jak i dla „wyzwolonych" religijnie całkiem zbyteczny. Pierwszych nie rozbroi, a drudzy takiem hasłem wyznaniowem się nie nawolują. Dla tych ostatnich „kwestya żydowska" ogarnia *tylko* ten tłum ciemny, zepsuty, całem swem życiem moralnem i umysłowem obcy społeczeństwu polskiemu, na którem jak grzyb rośnie. Te wszakże jednostki, które w księgach ludności muszą zaznaczać swą odrębność, ale uczuciami i myślami zespoliły się z narodem, żadnej dla nas „kwestyi" nie stanowią i tylko dziwią nas lub smucą, powiewając jakąś żydowską chorągiewką i włażą koniecznie w tę nieszczęsną „kwestyę" dla obnażenia swoich ran. Węgier, któryby na ziemi naszej się urodził i jej właściwości przejął, chociażby różnił się od nas szczepem, gdyby bez chęci zaznaczenia odmiennej rasy i obywatelstwa, wykrzyknął: „madziarem jestem i madziarem pozostanę" — wyglądałby zabawnie. Niech autor przywiedzionej elegii podyktuje swoje hasło do księgi meldunkowej lub protokułu antropologicznego — na to zgoda, ale po co je wywiesza jako szyld społeczny — i ogłasza, że go „żadne pobudki nie skłonią do zmiany religii?" Kto go w sferach, na których uznanie liczyć może, o religię pyta? Przecie w tych sferach już nadeszła tak upragniona przez niego „wielka chwila," a w innych nigdy nie nadejdzie.

Pozostawilibyśmy tę jednostkową deklaracyę bez objaśnienia, gdyby ona nie była echem psalmu religijnego, jaki brzmi śród naszej inteligencyi „żydowskiej," zbyt czułej na porażenia ze strony przeciwników i zbyt nieśmiałej w zaznaczaniu swych praw i godności obywatelskich. Psalm ten jest objawem daleko smutniejszym, niż zawarte w nim skargi. Ludzie, którzy powinniby klasyfikować się według nabytych powinowactw duchowych, grupują się sami według „odziedziczonych" cech religii, przez nich wcale niewyznawanej.

— Teraz pan jesteś Wellingtonem!

Kuzynek Jaś wyprostował się.

Stoisz pan na polu bitwy z większą częścią angielskiej piechoty. Tu przybiega pędem cała francuska kawalerya. Milhaud połączył się z Kellermanem; jedna nieprzejrzana masa koni, ludzi, pancerzy, szyszaków, sztandarów i białej broni. Otocz się pan czworobokiem.

Kuzynek Jaś stał przez chwilę, nie umiejąc sobie poradzić, ale w końcu zrozumiał kapitana i narysował prędko w piasku, naokoło siebie kwadrat głębokiemi liniami.

— Doskonale! — zawołał kapitan promieniejący, teraz rąbią francuzi, szeregi łamią się, ale zamykają na nowo. Wellington musi się co chwila otaczać nowym czworobokiem.

Jeźdcy francuscy biją się jak lwy: dumne wspomnienie dawnych bojów cesarza wlewa w nich odwagę pełną świadomości zwycięstwa, z powodu której armie cesarskie były niepokonane; biją się za zwycięstwo, za honor, za siły francuskie, za owego małego, zimnego człowieka, o którym wiedzą, że stoi za nimi na wzgórzu, że wszystko widzi i o niczem nie zapomina, że oko jego śledzi każdego oddzielnie.

— Ale dziś mają przed sobą nieprzyjaciela, którego nie łatwo zwyciężyć. Stoją jak mur ci anglicy; odparci o krok jeden, zdobywają go wnet w następnej chwili. Nie mają żadnych orłów, ani cesarza; gdy się biją, to nie myślą ani o zaszczytach wojennych, ani o zemście; myślą o ojczyźnie. Nie widzieć już nigdy dębów starej Anglii — to najcięższa myśl dla anglika. Lecz nie! Jest jeszcze coś gorszego: powrócić okryty wstydem! A kiedy pomyślą, że dumna flota, co leży na północy i czeka ich, mogłaby odmówić im salwy honorowej, że „Old England" mogłaby się wyprzeć swych synów — silniej chwytają za broń, zapominają o krwi i ranach, spokojnie i poważnie, z zaciśniętemi wargami pilnują swojego posterunku i umierają jak mężowie.

Dwadzieścia razy czworoboki przełamywały się i znów zamykały — 12,000 dzielnych anglików poległo. Kuzynek Jaś rozumiał, iż Wellington płakał i mówił: „Ney lub Blücher!" Kapitan tymczasem opuścił Belle-Alliance i szukał czegoś w trawie pod ławką, ciągnąc dalej, coraz żywiej opowiadanie.

— Wellington był więc na prawdę pobity, miał w zupełności zostać pokonanym, gdy— zawołał kapitan ponurym głosem — gdy przybył *ten tu!*

I w tej samej chwili, rzucił kamień, przedtem ukryty (Jaś go zauważył) tak że potoczył się na pole bitwy.

— Teraz lub nigdy — pomyślał kuzynek Jaś.

— Blücher! — zawołał.

— Doskonale — odpowiedział kapitan. To Blücher — Blücher, ten stary wilkołak, maszerujący ze swoimi prusakami ku polanie.

Grouchy tedy nie zjawił się. Napoleon był pozbawiony swego prawego skrzydła przeciwko 150,000 ludzi. Z właściwą sobie zimną krwią, wydaje rozkazy do wielkiej zmiany frontu. Było jednak za późno, a przemoc za wielka. Wellington, który po przybyciu Blüchera miał sposobność korzystać z rezerwy, kazał całej armii iść naprzód. Ale raz jeszcze jeden zjednoczone wojska nagłym atakiem zmuszone były zatrzymać się w marszu, atakiem prowadzonym przez lwa dnia tego, Neya.

— Widzisz go pan! — krzyknął kapitan, a oczy jego błyszczały.

I kuzynek Jaś widział go, owego awanturniczego bohatera, księcia Elchingen, Moskowy, syna bednarza z Saarlouis, marszałka Francyi. Widział go, jak biegł przed kolumnami. Pięć koni zastrzelono pod nim... — z mieczem w ręku, w podartym mundurze, bez kapelusza, z pokrwawioną twarzą,

Kolumny formowały się i uderzały naprzód; szły za swoim księciem, zbawcą

„Żydem jestem i żydem pozostanę“—woła człowiek światły, jakże wołać ma ciemny hasyda?

DEMOKRATYZACYA ZASAD.

II.

Patryotyzm bieżący.

W społeczeństwie naszem proces różniczkowania nie odbywał się wcale. Istniały właściwie dwie tylko kasty: uprzywilejowana i poddańcza, przedzielone od siebie tak ogromną różnicą, że o stopniowym, ze starcia się rozmaitych stosunków wynikającym, przyrodzonym, że tak powiem, rozwoju naszych pojęć społecznych mowy być nie może. Demokratyzm więc nasz zawsze szedł z góry, był on pańskim kaprysem, łaską pańską, czasem wspaniałomyślną ofiarą, czasem poczuciem obowiązku, lub szlachetną chęcią zmazania winy, ale nie był nigdy naturalnym wyrazem uświadomionych dążeń warstw niższych. Nadawało mu to bezwątpienia pewną doniosłość etyczną, która jednak zastąpić nie mogła braku trwałej podstawy społecznej. Jest to charakterystycznem znamieniem, że w rozwoju naszej umysłowości liberalizm mieszczański nie grał żadnej prawie roli, zasady jego były tylko chwilową naleciałością, albo pacierzem, powtarzanym za panią matką — Europą. Zastępował go samorodny „liberalizm szlachecki,“ niewiele zresztą więcej wart od swego odpowiednika, bo równie jak on samolubny i ciasny. Dopiero w ostatnich trzydziestu latach społeczeństwo nasze, czy to zapóźnione w swoim postępie, jak chcą jedni, czy też wykolejone z właściwej swej drogi, jak utrzymują drudzy, odrazu wstąpiło w inną fazę, o tyle wyższą lub raczej różną od poprzedniej, że niema prawie pomiędzy niemi żadnego związku organicznego. Wytworzyła się różnorodna sprzeczność interesów, którą widzimy w kapitalistycznym ustroju społeczeństw zachodnio-europejskich, ale sprzeczność ta nie objawia typowych właściwości wybitnych, nie posiada ich jeszcze w formie skończonej, lecz dopiero w niowyraźnych, chociaż już kształtujących się zarysach. U nas np. nie wzrost mieszczaństwa poprzedził kapitalizm, ale kapitalizm stara się stworzyć mieszczaństwo.

Owa wyłamująca się i coraz bardziej wzrastająca sprzeczność naruszyła już prostą budowę naszego ustroju społecznego, rozbiła bowiem jego klasę uprzywilejowaną na kilka grup odrębnych. Pod względem ekonomicznym różnice, nawet przeciwieństwa dążeń i interesów tych odłamów występują dosyć dobitnie, chociaż rzadko kto jasno zdaje sobie z tego sprawę. Nie można więc dzisiaj warstwy wyższej uważać jako kasty jednolitej, w rzeczywistości wszakże pozostaje ona taką w stosunku do masy ludowej. Nawet ta jej część, której interesy nie ścierają się ostro z interesami ludu, lub w tych wypadkach, kiedy to starcie, istniejące wogóle—znika, część ta poczuwa się do większej łączności z tą całością uprzywilejowaną, z którą dzielą ją różnice istotne, niż z masą, z którą łączyć ją powinny bodajby wymagania korzyści własnej. Chociaż więc życie zniosło ów podział oparty na przywileju, chociaż rozbiło jednolitość kastową i wysunęło różnice innej natury, polegające na rozmaitości i przeciwieństwie interesów, pomimo to jednak w stosunku inteligencyi do ludu silniej, niż rozdźwięk pokrzyżowanych dążeń i potrzeb, brzmi zgodny chór głosów pańskich, kłócący się z melodyą chłopskiej piosenki. A przecie, jeżeli ten podział na hierarchię uprzywilejowaną i gmin poddańczy nie ma dziś racyi bytu, jeżeli wyodrębnianie się różnych grup społecznych wynika z różnicy interesów, a odbywa się na zasadzie ich łączności w zakresie każdej oddzielnej całostki zbiorowej, to można chyba żądać, aby te przynajmniej grupy i jednostki, których nic z ludem nie dzieli, zwłaszcza zaś wtedy, kiedy je z nim spaja poczucie wzajemnej korzyści, pozbyły się swej wyłączności i działały szczerze w kierunku pragnień i potrzeb tego ludu. Tymczasem nawet to skromne życzenie nigdy prawie nie jest spełnianem, chociaż tak łatwo mu zadość uczynić. Faktem jest np., że na całym obszarze ziem polskich nie mamy ani jednego pisma ludowego, któreby otwarcie stało na gruncie interesów chłopskich i broniło ich, bez względu na to, czy one godzą się, czy nie z korzyściami i dążeniami warstw wyższych.

Sprzeczność interesów, jak nadmieniłem wyżej, nie wytworzyła i nie mogła jeszcze wytworzyć odrębnych organizacyj społecznych, któreby przyjęły kształty wyraźne i zastygły w nich. Może więc ona zaznaczać się bardzo stanowczo w sprawach osobistych, w walce dobra jednostkowego z wymaganiami ogólniejszej natury, ale nie posiada tej wyłączności, która przeciwstawia się wszystkiemu, co nie należy do danej grupy lub kasty, chociażby nawet nie było jej wrogie. Nie ona więc, ale tylko kastowość, która dziś już niema żadnej podstawy realnej, stanowi najsilniejszą zaporę dla zdemokratyzowania naszego społeczeństwa. Kastowość ta jednak musi zanikać i trzyma się tylko przeważnie w dwóch dziedzinach: w polityce — jako tradycya przodownictwa i wspomnień historycznych, i w obyczajach — jako tradycya kultury. W zakresie stosunków ekonomicznych coraz wyraźniej na pierwszy plan występuje przeciwieństwo interesów i z niem tylko dziś liczyć się należy.

We wszystkich tych dziedzinach, bez względu na różnice ich charakteru, krytyka społeczna stosować musi jedną zasadę, która w stosunkach naszych zyskała sobie prawo obywatelstwa. Jest to zasada zdwojonej miary nietylko wymagań i obowiązków, ale i ofiar. Zasadę tę rozwijaliśmy nieraz obszerniej, nie potrzebujemy więc prawideł jej stosowania określać szczegółowo; zaznaczymy tylko raz jeszcze, że stokroć trudniejszą jest ona do wykonania wtedy, kiedy idzie nie o spełnienie obowiązku, nie o zadośćuczynienie najbardziej wzmożonym wymaganiom dobra powszechnego, ale o cichą ofiarę z dotychczasowych wierzeń i przekonań, w których wzrośliśmy, które stały się nieodłączną cząstką naszej istoty. Ofiara ta na rzecz ogółu, nieopromieniona blaskiem bohaterstwa, ani krwawą aureolą męczeństwa, ukryta i bolesna, ale tem wspanialsza, tem świętsza, im bardziej skromna i trudna. To już nie owo poświęcenie swoich interesów, które było właściwie wspaniałomyślnem okazywaniem łaski pańskiej, lecz szczere wyrzeczenie się tego, co było dotychczas skarbem najdroższym myśli i serca, najsilniejszem ukochaniem, najgłębszą wiarą, najmilszą nadzieją. Wzrastająca jednak świadomość naszej myśli politycznej coraz natrętniej domaga się tej ofiary, niosąc zarazem pociechę, że ziarno tego bólu rokuje w przyszłości obfity plon szczęścia powszechnego.

Świadomość nasza narodowa musi dla siebie szukać innych podstaw, niż te zaklęcia tradycyi, które miały ją „zbawić od złego“ i dać jej „żywot wieczny.“ Rozumie ona, że musi oprzeć się na poczuciu mas, te zaś żadnej tradycyi dziejowej nie mają, bo nie miały żadnej historyi. Jest to

---

z Berezyny, w walkę bez nadziei za cesarza i Francyę. Nie przeczuwały, iż król Francyi w sześć miesięcy później każe zastrzelić ich ubóstwianego księcia, w ogrodzie Luksemburgskim, jako zdrajcę kraju.

Ale on był wszędzie, zbierał wojsko i komenderował tak długo, dopóki dla wodza nic do czynienia nie pozostało. Wtedy użył swojej szabli jak żołnierz, aż wreszcie wszystko się skończyło, i porwany został przez fale uciekających, gdyż armia francuska uciekła.

Cesarz rzucił się w wrzawę bitwy; ale straszny hałas zagłuszył głos jego, i w półcieniu nikt nie poznał małego człowieka na białym koniu. Potem zajął stanowisko w czworoboku swej starej gwardyi, która się jeszcze trzymała na polu bitwy; chciał zakończyć życie na swem ostatniem pobojowisku. Ale generałowie zgromadzili się naokoło niego, starzy grenadyerzy wołali: „Cofnij się Najjaśniejszy Panie, śmierć cię nie chce!“

Nie wiedzieli, że cesarz stracił prawo śmierci, jako żołnierz francuski. Nawpół opierając się, został pociągnięty i niepoznany przez własną armię, popędził w noc ciemną, straciwszy wszystko.

— Tak skończyła się bitwa pod Waterloo — powiedział kapitan, siadając na ławce i poprawiając krawat.

Kuzynek Jaś myślał oburzony o wuju Fryderyku, który wyrażał się z takim przekąsem o kapitanie Schreppe. Był on wszakże inną, bardziej interesującą osobistością, niż taki stary koń departamentalny jak wuj Fryderyk!

Podczas kiedy chodził w koło, zbierając rękawiczki i inne drobiazgi, porozrzucane przez wodzów w gorączce walki na polu bitwy, dla oznaczenia pozycyi, nastąpił też na starego Blüchera. Podniósł go i przyjrzał mu się dokładnie. Był to twardy kawał granitu, chropawy, jak cukier lodowaty, bardzo podobny do „Marszałka Vorwärts.“ Z grzecznym ukłonem Jaś zwrócił się do kapitana:

— Pozwól mi, panie kapitanie, że ten kamień zabiorę. Zachowa on żywo w mojej pamięci lepiej, niż cokolwiek innego, to zajmujące i nauczające opowiadanie.

I jednocześnie schował Blüchera do kieszeni surduta. Kapitan zapewniał, że było dla niego prawdziwą przyjemnością uważać, z jakiem zajęciem jego młody przyjaciel słuchał opowiadania.

— Ale, siadaj teraz młodzieńcze; po dziesięciogodzinnej bitwie, potrzebujemy trochę wypoczynku — dodał śmiejąc się.

Kuzynek Jaś zajął miejsce na ławce i z niepokojem dotknął się swego stojącego kołnierzyka. W południe przypiął sobie jeden z najlepszych, jaki posiadał. Na szczęście kołnierzyk był jeszcze sztywny, ale musiał Jaś sobie wspomnieć słowa Wellingtona: „Ney albo Blücher,“ gdyż niezadługo kołnierzyk ten zmiąłby się zupełnie.

Dzięki wszakże gorącemu popołudniowemu słońcu, spacerujący trzymali się zdaleka od wału. Inaczej znaczna część publiczności byłaby się zgromadziła naokoło tych panów, którzy skakali, biegali i machali rękami.

Mieli tylko jednego słuchacza był nim szyldwach, stojący na rogu gimnastyki.

Żołnierz z ciekawości podszedł dalej, aniżeli mu wolno było, i przemaszerował prawie półtorej mili. na szosie z Brukselli do Waterloo. Kapitan byłby go dawno zburczał, gdyby ten „ciekawy“ nie miał wielkiego strategicznego znaczenia. On, jak tam stał, tworzył całą rezerwę Wellingtona; a teraz, gdy bitwa była skończona, odsunął się w porządku ku Brukselli i zajął znowu opuszczone stanowisko na rogu, koło gimnastyki.

(D. c. n.).

fakt, którego wszelkie usiłowania, dążące do tego, ażeby cześć i miłość dla przeszłości w sercach ludu rozbudzić — nie naprawią. Tradycya nie może być nauczoną, siła jej polega na tem właśnie, że splata się ona z całem naszem jestestwem, że przenika każdy atom naszego ustroju. Zresztą tradycya nasza już dla tego, że jest wyłącznie szlachecką — a inną być nie może, bo taką była przeszłość dziejowa Polski — dla ludu musi być obcą, często niemiłą, czasem nawet wstrętną. Raz trzeba to sobie powiedzieć otwarcie, nie jako zarzut lub potępienie, bez żalu i gniewu — ale jako stwierdzenie faktu istotnego. Przyznawszy zaś fakt ten, zgodzić się trzeba na wynik tego przyznania, że tradycya historyczna, niezależnie od swej wartości, jako środek polityczny odnośnie do ludu, nie może mieć żadnego znaczenia. Zapewne, rzecz to smutna, ale smutek jest uczuciem, o które polityka się nie troszczy.

Powiedziałem, rzecz to smutna, ale nie sądzę, żeby była groźna. Bez tradycyi, nawet bez kultury, lud polski zachował swoją narodowość mocniej i pełniej, aniżeli warstwa inteligentna, chociaż dla obrony jej nie powoływał się ani na prawa historyczne, ani na zaręczenia traktatów, chociaż poczucia jej nie krzepił balsamem wielkich wspomnień, ani nacieraniem za pomocą świętych relikwij przeszłości. Świadomość jego zbiorowa opiera się na tej odrębnej naturze, której nie nadały mu żadne prawa, ustne czy pisane, i której dla tego żaden Bismark wydrzeć mu nie może. Jest to poczucie plemienne, miłość tej ziemi, na której wyrósł „jak lasy rosną, razem z tym dębem i sosną," którą krwawym potem swoim użyźnił i zdobył sobie do niej niezaprzeczone prawo własności, w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. Wypadki zewnętrzne mogą pogorszyć warunki tej pracy, ale nie są w stanie jej przerwać, ani następstw jej zniweczyć.

W przeciwstawieniu z patryotyzmem historycznym jest to — jak wyraził się Prus — patryotyzm bieżący, może lepiej — przyrodzony. Pierwszy zachowuje, ochrania, pilnuje ściśle praw swych i zabytków i z biegiem czasu po kolei je traci. Zasoby jego mają tylko wartość archeologiczną lub podmiotową, stosownie do wspomnień, jakie w posiadaczach swych budzą. Drugi — postępowy, zdobywający i stwarzający pracą swą coraz nowe wartości, które potęgują jego bogactwo. Jeden wydaje resztki spuścizny i uszczupla je ciągle, drugi wytwarza zapasy na dzień jutrzejszy.

Kiedy pierwszy opiera się na podstawach, które lada podmuch wiatru wali, na mniemanych prawach, które nie znajdują uznania, kiedy jest słabnącem echem ubiegłych czasów a nie żywotnem tętnem teraźniejszości i nadzieją dni przyszłych, drugi idzie śmiało drogą otwartą i prostą, drogą, którą w pracy wiekowej torował sobie lud polski i po której dzisiaj w znoju, wśród przeszkód i niebezpieczeństw, kroczy powoli, ale spokojnie.

Nie apostolstwem tradycyi, która nie znajdzie chętnych słuchaczów, rozwijać należy jego świadomość. Myśl jego budzić, siłę krzepić, zapewnić mu owoce pracy i warsztat jej główny — ziemię, oto najbliższe zadanie obywatelskie inteligencyi naszej. Wskrzeszeniem zmarłych zajmują się tylko kuglarze i cudotwórcy, ale tworzyć nowe kształty zawsze może potężna świadomością wola ludzka.

Z FRANCYI.

Paryż, 15 października.

Drugi kongres stowarzyszeń spożywczych w Lyonie.— Kongres angielskich Trade-Unionów w Hull.

We Francyi panuje obecnie znaczący ruch na polu stowarzyszeń spółdzielczych. W chwili, gdy to piszemy, obraduje w Lyonie pierwszy kongres robotniczych syndykatów zawodowych — które nie są wprawdzie stowarzyszeniami wytwórczemi, usiłują jednak niemi stać się — w zeszłym zaś miesiącu odbył się w temże mieście drugi kongres stowarzyszeń spożywczych.

Pierwszy w roku zeszłym, w Paryżu, był próbą zjednoczenia i organizacyi na szerszą skalę rozproszonych dotychczas kółek. Obecny zrobił poważny krok naprzód w kierunku organizacyjnym i był o wiele od poprzedniego liczniejszym. Gdzieindziej opowiedzieliśmy szczegółowo w swoim czasie dzieje doprowadzenia do skutku pierwszego zjazdu — tu postaramy się dać treściwą, na razie, wiadomość o drugim.

Liczą we Francyi 600 stowarzyszeń spożywczych, tylko część ich jednak dała się dotąd wciągnąć do związku. Na kongres lyoński przybyli i goście zagraniczni, pp. Vansittart Neale, gorliwy propagator stowarzyszeń spółdzielczych w Anglii i dwaj jego ziomkowie — Auckland, członek Izby gmin, i Sedley Taylor profesor uniwersytetu w Cambridge. Z Włoch — Vigàno i Rabbene, profesor uniwersytetu. Szwajcaryę przedstawił Pictet z Genewy, zasłużony również na polu mrówczej pracy ekonomicznej.

Po zagajeniu pierwszego posiedzenia przez prezesa komitetu wygłosił obszerną mowę Gide, profesor uniwersytetu w Montpellier, jedyny, zdaje się, z urzędowych przedstawicieli nauki ekonomicznej we Francyi, który niezupełnie ściśle trzyma się prawowiernego manczestryzmu. Mówca ośmielił się nawet wyrzec zdanie, że „system najmu (le salariat) ustąpi z czasem miejsca wyższej formie ekonomicznej." Zgorszenie też było wielkie, nigdy bowiem jeszcze profesor francuskiego uniwersytetu nie wygłosił tak zuchwałego poglądu. To też *l'Economiste français*, zdając sprawę z kongresu, pomieścił na czele uroczysty protest przeciwko takiemu niebezpiecznemu przypuszczeniu, a Paweł Leroy-Beaulieu poświęcił temu wypadkowi artykuł wstępny w temże piśmie, przypominając ze zgrozą, że niedawno sam prezydent ministrów, Freycinet, powiedział w Montpellier w urzędowem swem przemówieniu, że „wczorajsze utopie bywają jutrzejszymi faktami." Cóż robić, świat nawet według ministra wciąż się porusza, panowie zaś ekonomiści chcieliby przekonać łatwowiernych, że on stoi w miejscu. Prof. Gide nie jest zresztą bynajmniej radykałem; wypowiedział on także zdanie, że stowarzyszenia przedewszystkiem liczyć winny na siebie, nigdy zaś na pomoc państwową — pogląd, który i we Francyi jest już zacofanym, niedawno bowiem oportunistyczny minister spraw wewnętrznych p. Waldeck-Rousseau oświadczył się wręcz przeciwnie i organizował nawet w tym duchu komisye. Gide powiedział także, iż nie dlatego uważa system pracy najemnej za niższy, żeby ten nie dawał robotnikowi całkowitego wynagrodzenia za jego trudy, lecz dlatego mianowicie, że utworzenie się klasy najemniczej usposabia władnącą kapitałem do poczytywania człowieka za proste narzędzie produkcyi. Przy pomocy stowarzyszeń robotnik, zdaniem mówcy, zdobędzie dwie rzeczy, których mu brak: kapitał i zmysł prowadzenia przedsiębiorstwa — a zdobędzie je w drodze pokojowej, legalnej. Pragnąc pozyskać swych słuchaczów dla idei stowarzyszeń, przypomniał profesor, że Thiers, który nie wierzył w asocyacye, nie wierzył także w swoim czasie i w drogi żelazne. A przecież teraźniejszość zadała kłam jego uporowi i tory kolejowe pokrywają dziś gęstą siecią kraje cywilizowane.

Wielu wybitnych członków kongresu wygłosiło obszerne mowy i szczegółowe sprawozdania. Między innymi p. Boyve czytał ciekawą rzecz o stowarzyszeniach spożywczych angielskich, które służą francuzom za wzór do naśladowania. Zapoznano się również z historyą i organizacyą stowarzyszeń włoskich, szwajcarskich, poczem wiec powziął ważną uchwałę, uznającą w zasadzie myśl utworzenia federacyi stowarzyszeń spółdzielnych: francuskich, angielskich, włoskich i szwajcarskich. Dla urzeczywistnienia tej idei postanowiono wysyłać wzajemnie delegatów na odbywające się kongresy narodowe. Wybrano też bezzwłocznie Fougerousse, jako przedstawiciela francuskiego, na zjazd stowarzyszeń włoskich, zapowiedziany w Medyolanie, zaś Boyvego na kongres stowarzyszeń angielskich.

Z uchwał najważniejszemi są te, które posłużą za podstawę utworzenia francuskiej federacyi stowarzyszeń spółdzielnych. Zgodzono się podzielić Francyę pod tym względem na pięć okręgów (régions), których stolicami będą miasta: Paryż, Lyon, Tours, Lille i Marsylia. W każdym okręgu ma powstać osobny związek federacyjny, posiadający swój skład zapasowy i izbę doradczą, działającą w granicach federacyjnego ogniwa. Coroczne zjazdy jednoczyć będą federacyę w jedną całość. Uradzono także założyć specyalny bank dla stowarzyszeń spożywczych i starać się o wyswobodzenie ich z pęt fiskalizmu. Przyszły kongres stowarzyszeń spożywczych francuskich zbierze się w Tours.

W niedawnym wiecu robotniczym w Paryżu, z którego zdawaliśmy sprawę, wzięli także udział delegaci Trade-Unionów angielskich. Podjęli się oni uchwalone tam wnioski przedstawić kongresowi angielskiego związku, który miał się niebawem zebrać w Hull. Kongres ten odbył się już w pierwszej połowie zeszłego miesiąca. Uchwały paryskie, zmierzające, jak sobie przypominają zapewne czytelnicy, głównie do przeprowadzenia międzynarodowego prawodawstwa fabrycznego itp. nie zostały przezeń przyjęte w Hull. Główną przeszkodą okazał się paragraf, zalecający zaprowadzenie minimalnej pracy zarobkowej. Punkt ten nie zdołał pozyskać większości. Bądź co bądź jednak, obecność delegatów angielskich na zjeździe paryskim wpłynęła na obustronne zbliżenie się. Maudsley, jeden z tych, którzy brali udział w kongresie paryskim, oświadczył w Hull, że udał się do Paryża pełen uprzedzeń przeciwko robotnikom zagranicznym, przekonany, że uganiają się oni za mrzonkami, co nie odpowiada bynajmniej usposobieniu robotników angielskich. „Pobyt mój jednak nad Sekwaną — rzekł — rozwiał znaczną część tych uprzedzeń. Robotnicy francuscy stali się dziś ludźmi praktycznymi, zbliżając się w swych dążeniach do celów, które stawi sobie związek angielski."

Nie wchodząc w bliższy rozbiór prac kongresu, wymienimy tylko ważniejsze punkty obrad. Shipton, sprawozdawca komitetu parlamentarnego, mówił o ostatniej sesyi Izby gmin ze względu na interesy robotnicze. W Izbie Unia ma swego przedstawiciela w osobie Broadhursta; zamianowano niedawno sędziami dwóch robotników, w Leicesterze i Sheffieldzie; żądanie ograniczenia dnia pracy do ośmiu godzin, niema obecnie, zdaniem sprawozdawcy, widoków powodzenia. W toku narad prezydent kongresu, Madison, wypowiedział obszerną i świetną mowę. Umiarkowana pod względem formy, jest jednak daleką bardzo od ducha, jaki ożywiał dawny angielski unionizm. Kongres wygłosił zasadę ośmiogodzinnej pracy dziennej. Wniosek, zalecający „unarodowienie" ziemi, upadł 47 głosami przeciw 42. Przed trzema laty, na kongresie w Nottingham, wniosek ten miał przeciwko sobie dwie trzecie obradujących.

Przy otwarciu kongresu szeryf z Hull, w zastępstwie mera, wypowiedział nader

uprzejme powitanie. Przyszły kongres Trade-Unionów odbędzie się w Swansea.

E. Przew.

BADANIA NAUKOWE.

SPOŁECZEŃSTWO A LITERATURA.

III.

Atoli dopóki pozostajemy wśród klanu lub rzeczypospolitej miejskiej, szerokość uczuć sympatycznych nie może być znaczna. Wprawdzie tu i owdzie, wśród federacyi kilku klanów (jak u hebrajczyków) wyrabiają się ideały szersze, narodowe; ażeby wszakże one wybujały w uczucia ogólno-ludzkie, ażeby zainteresowano się losami ludzkości całej, na to potrzeba bodźców, któreby rozszerzyły te ciasne formy asocyacyjne. Tego dokonała u żydów niewola babilońska, wśród greków rozproszenie się po całej monarchii persów, wskutek zwycięztw macedońskich. Rozszerzenie się takie widnokręgów stwarza wśród federacyj klanowych, opartych zazwyczaj na wspólnym kulcie religijnym, kosmopolityzm religijny (mahometanizm u arabów, chrześciaństwo u hebrajczyków), bogaty zagadnieniami społecznemi i jako spoidło ludzkości niosący wiarę, a w rzeczpospolitych miejskich — kosmopolityzm polityczny, stawiający w ideale swym wspólną kulturę, o charakterze głęboko indywidualistycznym, za spójnię mający centralizacyę polityczną (Rzym cesarzów, grecy aleksandryjscy). W obu razach wytwarza się literatura kosmopolityczna, o różnych cechach, stosownie do okoliczności swego powstania, lecz zawsze połączona z objawami następnymi. Podnosi ona sprawy ogólno - ludzkie, oderwane zupełnie od wszelkiego gruntu i od jakiejkolwiek grupy społecznej; przeważają w niej refleksye i krytycyzm, zwłaszcza ten ostatni godzi się uważać za jej najwybrańszą cechę. Kiedy twórczość artystyczna zawisła od charakteru jednostek i grup, przez które i w których się wypowiada, wówczas krytyk wyzwala się z pęt takich, a to rzecz możliwa właśnie przy tych samych warunkach społecznych, które w literaturze stwarzają prąd ogólno-ludzki. Wreszcie ponieważ owa literatura wykwita po kataklizmach niszczących odosobnione życie grupy stosownej, przeto znamionuje się też utratą czystości języka. Dawniej twórczość oryginalna nie opuszczała autora i w dziedzinie języka, wraz z dziełem swem tworzył on słowa. Inaczej teraz; dla władania językiem trzeba studyów gruntownych nad starodawnymi pomnikami literatury — jest to zjawisko niedołęczne od epoki kosmopolityzmu. Wreszcie, wobec rozprzężenia solidarności społecznej, okres rozpatrywany znamionuje się jeszcze wystąpieniem nowego poglądu na martwą przyrodę. Będzie to przeciwstawianie człowieka tej ostatniej. Istota ludzka, wskutek stargania wszelkich węzłów, łączących ją z innemi, pozostaje w zupełnem odosobnieniu, sama jedna z owemi uczuciami, zmiennemi, przechodniemi, w obliczu organizacyi państwowej, ścieśniającej ją wbrew jej woli. Wobec tego dziwnie pociągającą wydawać się musi ta przyroda, tak stała w swem bytowaniu w porównaniu ze znikomością życia ludzkiego, do tyla spokojna w przeciwstawieniu do goryczą i namiętnościami pałającego serca człowieka. Jest to usymbolizowanie spoczynku i szczęścia. W okolicach więc świata klasycznego, gdzie niewolnictwo nie kładło się pomiędzy ludźmi a naturą, powstaje sielanka, ten dramat wewnętrznych uczuć jednostki na tle spokojnej, milczącej przyrody. Stosunek taki epoki kosmopolitycznej do przyrody jeszcze jaskrawiej zaznacza się w nirwanie hinduskiej. Tymczasem poezya epiczna staje się stanowczo niemożliwą, wskutek braku bohaterów, a zarazem zdemokratyzowania społeczeństwa; z tej samej przyczyny martwieje dramat bohaterski i historyczny. Co odpowiada nastrojowi chwili, to *komedya* rodzajowa, bo ma ona to do siebie, że zadawalnia się typami pospolitymi, obrazuje zwykłą poziomość, zabarwiając to odcieniem karykatury. Atoli w Atenach nie dobiegła ona do udoskonalenia należytego, a to dzięki obecności niewolnictwa i nizkiemu poziomowi umysłowemu ówczesnej kobiety. Gdzie na 21 tysięcy obywateli mamy do 400 tysięcy niewolników, o losie których wyrokuje posiadacz, tam niepodobna znaleźć dostatecznej różnobarwności typów, wymaganej przez komedyę. Ograniczenie kobiety w jej swobodzie, zamknięcie jej w obrębie gospodarstwa domowego, wszystko to również wytłoczyło swe piętno monotonności; wyjątek stanowią hetery, są też one zazwyczaj bohaterkami komedyi ówczesnej. Za to porasta w pierze wiedza ścisła, a poezya oddaje się jej na usługi. Powstają „epopeje astronomiczne“ i „botaniczne,“ wogóle poezya jest *dydaktyczną*. W Rzymie ponad społeczeństwo wznosi się postać Cezarów, niwelująca wszystko; ona to nadaje spójność wypadkom — przynajmniej na pozór. I oto dziejopisarstwo staje się raczej pisaniem biografij, teoryą wielkich mężów.

Tak rzeczy stoją wśród kosmopolityzmu politycznego. Dzieje kosmopolityzmu religijnego najlepiej maluje nam Judea. Już na zasadzie czynników wewnętrznych poczęło się tu rozluźnianie węzłów klanowych i panoszenie się indywidualizmu. Salomon w tym względzie stanowi punkt zwrotny; niewola babilońska przyspieszyła rozkład naturalny. Mamy i tu taką samą walkę pomiędzy moralnością klanową z jej odpowiedzialnością dziedziczną, a etyką indywidualistyczną z jej odpowiedzialnością osobistą, jak w Atenach. Antagonizm ów znalazł wyjście w chrześciaństwie, uniecestwiającem grzech pierworodny przez cierpiania na Golgocie i obrządek chrztu i ostatecznie formułującem prąd kosmopolityczny Daniela i Ezechiela proroków, oraz broniącem tradycyj klanowych wobec zapędów indywidualistycznych ze strony Saduceuszów. Kosmopolityczną literaturę stworzyły też Chiny i Indye przedgangesowe; nie wdając się w ocenę jej, zauważymy, że już ten fakt, jako w Rzymie i Grecyi rolę przeważną odgrywały miasta, na wschodzie zaś wieś, już to musiało wytłoczyć swe znamię na literaturach odnośnych. Do tego trzeba dodać instytucyę rodziny u chińczyków, a kast u hindusów (w dramacie hinduskim każda kasta mówi swym językiem).

Literatura narodowa jak i samo pojęcie narodowości, są to zjawiska nowoczesne i przytem nader złożone. Czekają one na badaczy, którzy w odniesieniu do działalności literackiej winni uwzględnić trzy następujące punkty. Przedewszystkiem godziłoby się zaznaczyć, jak w miarę zanikania odrębności prowincyonalnych literatura przybiera odcień ogólno-narodowy, a w ciągu dalszym ogólno-ludzki; będzie to wykreślenie wpływów ze strony większego lub mniejszego uspołecznienia się. Następnie, wypadałoby uwzględnić, jak w procesie takim uspołeczniania sama jednostka rozszerza się, pogłębia w swych uczuciach i widnokręgach, jak to odbija się na utworach literackich. Wreszcie trzebaby jeszcze skreślić, jakie postacie przybiera stosunek człowieka do przyrody i w jakiej zależności od warunków społecznych. Pozostawiając te zadania przyszłości, Posnett kreśli początki obecnych literatur narodowych. Są one nad wyraz wszelki ciemne. Duchowieństwo chrześciańskie, z ust którego mamy to wszystko, co wiemy o pierwszych chwilach dziejowych Europy nowożytnej, z pogardą spoglądać musiało na utwory epoki pogańsko-klanowej; również i panująca władza królewska zachowywała się nieprzyjaźnie względem nich, bo opowiadały o dawnem gminowładztwie ludu. Co ocalało, musiało uwzględnić interesy choć jednej z tych dwu grup; tem się objaśnia, że pieśni Nibelungów i inne świadectwa z epoki pogańskiej są już nawskróś owiane duchem indywidualizmu, pochodzą więc z chwil rozsprzęgania się klanu. Zresztą od wieku V aż do XVI nie może być mowy o jakiejś literaturze szerszej. Przez dziesięć wieków Europa zna indywidualizm w dwu postaciach — barona i mnicha. Mąż w szyszaku mierzy rozwój osobnikowy zasobem krwi i mięśni, jego rozkoszą najwyższą — polowanie i turnieje, wykwitem najwznioślejszym — miłość rycerska ku damie swego serca; nie lepiej, lubo w sposób odmienny, bo ascetycznie sądzi mnich. Dodajmy do tego zamki warowne, chroniące barona z rodziną i szajką rozbójniczą; chłopstwo, obarczone pracą na swego zdziercę, utrzymywane siłą w tych obowiązkach, bez uczucia solidarności z ciemiężycielami, bez nadziei na przyszłość, bez tradycyj z przeszłości; to rozbicie Europy na molekuły i patryotyzmy mięśniowo-zamkowe, do oręża powołujące nietylko baronów, lecz rozdzielające i jednolity ongi gmin klanowy na sztuczne terytorya; wreszcie ascetyzm i kosmopolityczna łacina duchowieństwa, a uwzględniwszy to wszystko, zapytamy: jaka literatura była wtedy możliwą? Zauważmy jeszcze, że i ów węzeł religii, rzucającej pomost nad przepaścią pomiędzy zamkiem a chatą, był raczej nominalny, bo pan posiadał własnego kapelana na zamku i kaplicę i nie uczęszczał do ubożuchnego kościołka wiejskiego. W okolicznościach takich lud śpiewać nie będzie, bo życie jego nie może zaznać zapału, będącego matką poezyi ludowej. Mnich, pełen pogardy ku doczesności, weźmie się do pisania kronik w swym języku kosmopolitycznym; wreszcie baron opiewać będzie czyny rycerskie, turnieje, powaby kochanek, a przyrodę widzieć w świcie chartów i sokołów. Ciasne są te szranki dla poczęcia literatury narodowej. Ażeby człowiek spojrzał dalej, poruszył stronę popędów społecznych, trzeba było wytworzenia się miast, umożebniających tłumom choć odrobinę swobody i szczęścia. Wprawdzie sympatye nie wybiegały po za mury grodzkie, lecz miasto wewnątrz siebie dawało polot zrzeszeniu cechowemu i powstaniu uczuć gromadzkich, a zapewniając swobodę niejaką, zarysowywało większą różnobarwność charakterów. Może więc powstać dramat pod postacią misteryj, odbijających w sobie całą jeszcze niewyrazistość indywidualizmu — więc zamiast ludzi konkretnych, mamy tu abstrakcye nieosobiste, autorstwo jest zbiorowem dziełem gildyj stosownych, a przyroda wyrugowaną, bo życie całe wtłoczone jest jedynie w mury miejskie. Rozwój miast, uszczuplając przywileje feudalizmu, a niosąc swobodę coraz większym masom ludu, postawił dopiero trwały fudament dla rozkwitu literatury narodowej.

Oto w ogólnych zarysach treść książki Posnetta, o której bogactwie trudno wyrobić sobie chociażby przybliżone pojęcie z krótkiego streszczenia. Na zakończenie nie możemy nie zaznaczyć czynnika najgłówniejszego, który, zdaniem autora, wpływa najpotężniej na wzrost lub upadek literatury. Jest to różny stopień napięcia uczuć sympatycznych w społeczeństwie. Mówią, że poeta znajduje przyjemność już w samem tworzeniu, a myśliciel — w rozmyślaniu, ale niepodobna zaprzeczyć, że fakt ten, bez podniety uczuć sympatycznych, bez nadziei, że inni wysłuchają i pojmą, nie wiele jeszcze zdziałałby. Wielkie

też pytanie, czy obecny upadek wyobraźni i poezyi, przypisywany zazwyczaj wpływom postępu, niej wynika wprost z braku takich uczuć i nie oznacza czasowego jedynie zaćmienia, aż póki one nie staną się znowu potężniejszemi.

Lud. Krzyw.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura czeska.

Wrchlicky Jarosław. *Soud lásky* (Sąd miłości). Komedya. Praga, 1886 r.).

Spółczesny Petrarka czeski — tak bowiem nazwać można Wrchlickiego—w miłości widzi zasadę życia. Wierny wypisanemu na puklerzu swoim godłu, śpiewa cześć bogini młodości, uwieńczonej niezwiędłemi różami tęsknoty za ideałem.

Dziś wobec zmienionych pojęć o stosunkach społecznych, kiedy ludzkość przebywa twardą szkołę przygód dziejowych, innem, bo utylitarnem spoglądając na poezyę okiem, nielacno było poecie odnaleźć temat do swojego obrazu; to też wydobywszy w pyłach wieku zbutwiałe kroniki, czarodziejskiem zaklęciem wskrzesza czasy trubadurów i rycerzy, czasy, w których papieże zasiadali w Avignonie, gdzie przy dźwiękach lutni i czarze wina opiewano sonetami i canzonami wdzięki nadobnych cór południa, wybujałych pod palącem niebem, pod którem serca goreją ogniem lawy, wybuchającej co chwila płomieniem i zamieniającej w popiół wszystkie inne uczucia okrom miłości.

Pod przewodem pięknej wdowy Fanety z Romaninu, otoczonej licznym pocztem dziewic nadobnych, zagajają się sądy miłości na rynku w starożytnem papieży i piewców siedlisku. Esparbila mnich, pełni urząd sekretarza, któremu Faneta przedstawia Petrarkę, przybyłego do Avignonu, gdyż w orszaku panien znajduje się jego Laura, małżonka Loisa hr. z Brigue. Wilhelm Balbez hr. z Ventimile, wróg pieśniarzy i amorów, pragnie brata swojego wyleczyć z miłości, lecz sam otrzymawszy od Fanety równiankę kwiatów, staje się jej czcicielem. Dwaj trubadurzy: Doria i Cigalla, palący w sercach kadzidła ku Blance z Flassans i Briandzie z Luny, zostali zagadnięci na posiedzeniach sądu o powód swojego przybycia; jeden z nich daje odpowiedź wymijającą, drugi zapadłszy w objęcia Morfeusza, głębokie zachowuje milczenie. Laskarys oskarża Fanetę przed papieżem Innocentym IV, iż dom jej jest miejscem przechowywania niewiernych żon i schadzek publicznych.

Wysłani pachołkowie papiezcy odkrywają w ogrodzie Fanety tonące w rozkoszy po altanach i pod krzakami pary. Strwożeni kochankowie opuszczają świątynię Amora, lecz w trwodze i ciemności następuje zamieszanie, w skutek którego Doria spotyka się z Isoardą bogdanką Piotra Balbeza, a ten znów z Blanką kochanką pierwszego.

Sam tylko Cigalla udanem chrapaniem wydobywa się z trudnego położenia. Jedyną nicią zbawienia jest małżeństwo schwytanych na gorącym uczynku kochanków, lecz niestety w sposób niezbyt dla nich pożądany; bo dla czci domu Fanety, Piotr Balbez ma się połączyć z Blanką a Doria z Isoardą. Następuje z tego powodu pojedynek między Piotrem i Dorią, wstrzymany rozsądnem przemówieniem Esparbili, który prośbami swojemi wyjednał u papieża zmianę okrutnego wyroku, pozwalającego naraz połączyć się kochankom, stosownie do własnego wyboru.

Komisarz papieski rozwiązuje sąd miłości, lecz Faneta oznajmia, iż to jest rzeczą zbyteczną; albowiem już wszyscy na ślubnym stanęli kobiercu, ona zaś idąc za powszechnym przykładem, rękę swoją oddaje wrogowi miłości i pieśni hr. Wilhelmowi de Balbez.

Tendencya całego utworu ujawnia się w ostatnich słowach Fanety, że lubo cnota wiele waży, jednakże miłość jest wszystkiem.

Justyn Feliks Gajsler.

KARTKI ESTETYCZNE.

III. Sztuka ozdobnicza i jej kiełkowanie u nas.

Sztuka ozdobnicza jest starą, jak ludzkość.

Bezkształtne zygzaki, jakie odnajdują archeolodzy na siekierkach, strzałkach i łyżkach człowieka pierwotnego, stanowią staroświetnych... rości tej świadectwo. Zygzaki te są pierwszemi, nieśmiałemi próbami ozdabiania sprzętów i narzędzi codziennego użytku.

Popęd do otaczania się rzeczami pięknemi płynie z głębi natury ludzkiej. Na równi z głodem fizycznym posiada człowiek i głód estetyczny, który jest rodzicem wszystkich sztuk pięknych.

A nie wyróżnia człowieka ta cecha, pozornie wyjątkowa, z łańcucha innych tworów przyrody. Albożto nie ma jej także drzewo, które ząbkuje misternie swe listki i zabarwia kwiaty całą tęczą kolorów? i ptak, który umie śpiewać rytmicznie i zgrabne budować gniazda? i kamień, którego kryształy budzą podziw nieskończoną rozmaitością barw i kształtów?

Sztuka zatem ozdobnicza narodziła się razem z ludzkością i razem też z nią rozwija się i doskonali.

Nie mówiąc o Wschodzie, który na tem polu, jak na wielu innych, wyścignął Europę o całe stulecia, sztuka ta doszła do wspaniałych wyników czasu „Odrodzenia" we Włoszech i Francyi. Dziś pyszni się nią cały zachód Europy — ale co zyskała na rozpowszechnieniu i większym obszarze praktycznego zastosowania, to straciła na głębokości i polocie.

Zdemokratyzowała się, czyli zeszła na usługi demosu — w czem jednak upadku jej dopatrywać się nie należy. Przeciwnie! Kult piękna—to tyleż prawie, co kult prawdy: im niżej sięga, tem bardziej ludzkość podnosi.

A co też na polu sztuki ozdobniczej zdziałano u nas?

Odpowiedź na to krótka: nic zgoła.

Naturalny popęd przejawił się i w naszym kraju, zarówno w pełnych charakteru ubiorach ludowych, jak w szlachecko-rycerskiej wystawie błyszczących zbroic i bogatych rynsztunków — na tem jednak wszystko się podobno skończyło. Kto miał smak bardziej ukształcony i delikatniejszy, ten zaspakajał go nabywaniem i sprowadzaniem wyrobów zagranicznych. Na miejscu nie wytwarzano nic prawie, co dorównaćby mogło choćby staro-niemieckiej sztuce ozdobniczej.

Już Górnicki narzekał:

„Skądbyśmy wzięli piękne koncyrze, szable, zbroje, pancerze, rusznice, tarcze, drzewca, siodła, munsztuki i inne rzeczy, gdyby nam ich niemcy nie dostarczali...?"

Jedynie najniezbędniejsza w naszych warunkach sztuka płatnerska, czyli wyrabianie wojennych narzędzi, od niemców przeszczepiona, jako tako przyjęła się w Polsce. W XVII wieku mieliśmy zdolnych: pancerników, miecznikarzów, ruśnicarzów itp. Pośrednio rozwinęło się też i ślusarstwo, którego nieliczne okazy, artystyczną wartość posiadające, do naszych czasów dotrwały. Ale za to stoły, nawet, stołki i szafy z Gdańska sprowadzaliśmy.

Kilkakrotnie, w dawnych już czasach, próbowano wyhodować pod naszem chmurnem niebem zagraniczną tę roślinkę. Pierwszą próbę czynił Zygmunt III, który z politycznem niedołęztwem łączył smak dobry i i upodobania artystyczne. Równy mu pod tym względami Stanisław August powrócił raz jeszcze do tych doświadczeń, ale, podobnie jak i poprzednik, zdziałał tak mało, iż to w dorobku naszym artystycznym nic prawie nie waży.

Czasy najnowsze znowu jęły się pracy w tym kierunku. A jęły się jej nie tyle już z pobudek artystycznych, ile raczej w celu zapełnienia groźnej przepaści, jaką — głównie pod względem form zewnętrznych — wykopały wieki całe pomiędzy naszym a obcym przemysłem fabrycznym.

Dziś dla wielu gałęzi tego przemysłu pozostawiono do wyboru: albo podnieść się do wysokości artyzmu, albo... przestać istnieć.

Na nieszczęście, rozpoczęta u nas praca odrodzin, dziwnie nielogicznemi, jak dotąd, kroczy drogami...

Swift opowiada w swych *Podróżach Guliwera* o narodzie, który miał zwyczaj budowę każdego domu rozpoczynać od — dachu. Dach utrzymywały w powietrzu balony, a pod nim dopiero ustawiano ściany i kładziono fundamenta.

Otóż i z naszą sztuką ozdobniczą dzieje się coś podobnego.

Nie zdziaławszy nic prawie w celu jej stworzenia i ukształtowania, występujemy odrazu z tem, co stanowi jej uwieńczenie, a mianowicie—z wystawą. Wystawa—to rodzaj publicznego egzaminu i popisu, a z czemże popisywać się tam, gdzie nie ma wcale systematycznej nauki?

Trzymając się naturalnego porządku rzeczy, należałoby rozpocząć rzecz całą od szkoły. Szkoły takie — elementarne, średnie i wyższe — posiada każda stolica europejska, i one to przedewszystkiem uprawiają grunt pod uprawę sztuki ozdobniczej.

Jeżeli na uwagę tę otrzymam odpowiedź: „robi się, co robić można," będę miał usta zamknięte; chociaż i wówczas jeszcze miałbym prawo zapytać: czy robi się *wszystko*, co robić można?

Bo można naprzykład, pomiędzy innemi, stworzyć specyalną literaturę, a tej brak nam zupełnie. Można przygotować dla rzemieślników tanie bilety wejścia na wszelkie wystawy artystyczne, a i tego nie czynimy. Można wreszcie w prasie popularnej zamieszczać całe serye artykułów pouczających, a i to zaniedbaliśmy.

Zgoda wreszcie i na wystawy — tylkoż nie z takim ciasnym zakresem i nie tak niedołężnie zorganizowane, jak ta, którą obecnie posiada Warszawa.

Prasa codzienna, w braku innego materyału, rozciąga z wysiłkiem ten kawałek gumy elastycznej do długości całych fejletonów; wysiłek ten jednak nie zmieni faktu, iż wystawa obecna stanowi rozpaczliwe *fiasco*.

Cóż bowiem na niej widzimy?

Trochę amatorskiego malowania na porcelanie oraz jeden czy dwa arcykosztowne majstersztyki.

To wszystko.

Na szczęście, wystawa ta nie jest— choć być powinna — sprawdzianem naszej wytwórczości w tym kierunku; gdyby bowiem nim była, musielibyśmy przyjść do smutnego wniosku, że u nas, w zakresie sztuki ozdobniczej, jest miejsce na dwie tylko pozycye:

1-o na zabawę,

2-o na zbytek.

Zabawą są wszystkie te talerze i kubki, ozdabiane kwiatkami i ptaszkami (a trafiają się też na nich i całe kompozycye ma-

larskie!), których nie wykonywają, jak gdzieindziej, zwyczajne robotnice, lecz „damy z wyższego świata.“

Zbytkiem znowu nazwać trzeba okazy w rodzaju biurka, a raczej „kantorku“ p. Bellowa, który nie waha się żądać *zań tysiąc osiemset* rubli; to jest tyle, ile płaci się za bardzo już piękne dzieło prawdziwej sztuki.

Dwa te rodzaje są jakby dwoma krańcowymi tonami w gamie; z dwóch zaś tonów trudno ułożyć jakąkolwiek harmonię...

Wystawa sztuki ozdobniczej, jeśli ma odpowiadać swemu założeniu, obejmować musi zakres bardzo szeroki. Ale wówczas nie można jej zamykać do ciasnej salki resursowej. Gmach cały poświęcić trzeba na jej usługi, albo też plac otwarty z pojedynczymi pawilonami.

Na takiej wystawie powinni znajdować się: malarze ścienni, tapeciarze, stolarze, snycerze, ramiarze, drzeworytnicy, galanternicy, fabrykanci majolik, introligatorzy, fotografowie, złotnicy, ślusarze, stukatorzy itd. itd. itd.

Znaleźć się tam może przygodnie nawet szewc, który wypracował parę pięknych i ozdobnych pantofelków; nawet krawiec i kapelusznik, którym udało się wymyśleć nowe formy stroju, odpowiadające warunkom estetycznym.

Tymczasem jednak u nas wszystko sprowadza się do majstersztyków snycerskich i do owej nieszczęśliwej porcelany malowanej, która wraz z manią pisania nowelek trapi epidemicznie nasz światek niewieści.

Zapominając jednak o przeznaczeniu wystawy i o cenie, odstraszającej zwykłego śmiertelnika, przyznać trzeba, iż p. Bellow wyrzeźbił swój kantorek bardzo misternie. Pozbawiony on jest wszelkich ozdób błyszczących, nie widać na nim ani inkrustacyi, ani marketeryi, i uderza patrzącego jedynie powagą i bogactwem snycerszczyzny. Psuje nieco tę powagę umieszczone wewnątrz, w zagłębieniu pomiędzy szufladkami, zwierciadełko.

„Stylu“ we właściwem znaczeniu dopatrzec się w tym kantorze trudno; stanowi on jednak piękną i harmonijną całość i gabinet milionera estetycznie przyozdobić może.

Szkoda jednak, że p. Bellow nie wymienił rysownika, który mu wzoru dostarczył. W dziełach sztuki ozdobniczej jest to szczegół niemałej wagi. Rysownik i rzemieślnik mają w nich równy udział pracy, a więc powinni mieć i równy udział zasługi.

Ze sztuką wybornego brązowania gipsu popisał się p. Romuald Dobrowolski, który naukę specyalną odbywał w Paryżu. Jego rama do lustra, w guście francuskim, lekkim, z kupidynkami u spodu i maską fauna u góry, brązowana na kilka kolorów, czyni efekt wyrobu metalowego. Ważnem jest jednak, czy ta pracowita a więc i kosztowna robota posiada odpowiednią trwałość?

Zbiór oryginalnych pomysłów rysunkowych, stanowiących wzory dla złotników, galanterników itp. wystawił p. Kryński. Znać w nich staranie się o stylowość, a nawet i o świeże motywy — brak im jednak lotnej fantazyi i szczerze artystycznego tchnienia. Ale, jako pierwsze swojskie próby, godne są uznania i zachęty.

Rozrodzona nad miarę i potrzebę nasza kolonia malarska, na pole sztuki ozdobniczej zwrócićby się powinna. Czeka tam na nią praca pożyteczna i... chleb.

Wiktor Gomulicki.

TEATR.

Tak zwany „pesymista.“

Nie zliczę, ile niespodzianek i zawodów przygotowała mi już w życiu warszawska urzędowa krytyka.

Możnaby powiedzieć, iż „potęga“ ta znajduje pewną dziką przyjemność w płataniu figlów spokojnym obywatelom, którzy też, systematycznie wodzeni przez nią na manowce, oddawna już stracili pojęcie prostej drogi wiodącej ku prawdzie.

Jakże często książka, odsądzona od czci i wiary przez przysięgłych naszej krytyki, zajmowała mnie lub uczyła; jakże często na sztuce wydrwionej przez nich lub wyklętej bawiłem się wesoło i z pożytkiem; jakże często dziennik jakiś, z lekceważeniem przez nich traktowany, stawał się dla mnie przyjemnem źródłem wiadomości i rozrywek!...

I odwrotnie: ileż opatentowanych przez te *jury* arcydzieł, począwszy od wielkich konkursowych dramatów, a skończywszy na drobnych wierszykach „naszego serdecznego“ albo debiutach konkretowych „naszej sympatycznej,“ za zbliżeniem się i dotknięciem rozsypywało się w moich palcach w proch, jak... purchawka!

W tygodniu minionym raz jeszcze złapałem się w sidła tej figlarki.

Przeraziła ona świat (warszawski) wieścią okropną. Jakiś dramatyczny antychryst miał czarnym inkaustem zbrukać białą dotąd polskiej Melpomeny sukienkę...

Poszedłem sprawdzić fakt na miejscu. Wysłuchałem z wysiłkiem trzy akty owej „pesymistycznej“ okropności. Starałem się przejrzeć autora, jego przekonania i zamysły. A zrobiwszy to wszystko, przyszedłem do przekonania, że... znowu ze mnie i z innych zażartowano.

Gdziem spodziewał się spotkać czarny pesymizm, znalazłem bezbarwną nieudolność; skąd miała wyjrzeć do mnie twarz zgryźliwego filozofa, wychyliła się młodociana główka nowicyusza...

Jestże to bowiem pesymizm tytułować sztukę *Potrzebne grzeszki* a następnie dowodzić w niej przez cały czas (o czem zresztą wszyscy wiedzą i bez tego), że owe grzeszki tem się właśnie odznaczają, iż są nietylko niepotrzebne, ale nawet szkodliwe?

Jestże to pesymizm sklejać głównego bohatera z kilkunastu kawałków, pobranych od rozmaitych ludzi, i kazać mu co trzy minuty zmieniać charakter, temperament, zasady a nawet sposób wyrażania się?

Jestże to pesymizm nadawać dwojgu kochankom imiona „Kicia“ i „Dydak“ i pokazywać ich raz paradyzowi, jak *Małgorzatkę* i *Huzara* w jasełkach, a kiedyindziej kokietować płaczliwym ich liryzmem krzesła i loże?

Jestże to pesymizm zabierać się do autorstwa, nie zdając sobie dokładnej sprawy z własnych przekonań i celów? rozpoczynać sztukę sceniczną bez wyraźnego założenia? prowadzić ją *à tout hasard?* pisać grubą farsę, a nazywać ją komedyą społeczną?

Jeżeli tak, to zauważyć trzeba jednocześnie, że p. Rzewuski (autor omawianej sztuczki) nie jest bynajmniej pierwszym u nas emisaryuszem szatana, gdyż piśmiennictwo nasze, zarówno dramatyczne jak piękne i naukowe, od wielu już lat roi się — pesymistami.

Ręka niewprawna w rysunku będzie zawsze kreśliła szpetne i wykrzywione oblicza, choćby głowa pełna była równocześnie marzeń o Rafaelowych Madonnach. Na podstawie jednak nieforemnie zatoczonego przez ucznia owalu, nazywać go duchem widzącym świat cały w nieforemnych kształtach, zaprzeczającym istnienia harmonii i dążącym do zagłady wszystkiego co piękne, byłoby poprostu — absurdem.

Ale urzędowa krytyka warszawska stosować się musi zawsze do hasła chwili — któż zaś nie wie, iż hasło to brzmi obecnie:

— Baczność! *Hannibal ante portas*! Pesymizm za progiem!

Trzeba więc, za jakąbądź cenę dopatrywać się wszędzie pesymistycznych bakteryj i zarabiać sobie na tytuł i honory czujnego stróża społecznego zdrowia i społecznej niewinności.

Wyjaśniwszy punkt główny, przyjrzyjmy się jeszcze trochę utworowi p. Rzewuskiego okiem nieuprzedzonem.

Potrzebne grzeszki czynią wrażenie sukni poszzywanej z łat najprzeróżniejszej barwy i najprzeróżniejszego gatunku. Każda scena następna zdaje się nie wiedzieć o poprzedniej. Ludzie kłócą się tu i wymyślają sobie, jak drwale, a po chwili padają sobie w objęcia i okrywają się pocałunkami. Stary kawaler, bogaty i uczony podobno człowiek, główny bohater sztuki, pokazuje się nam naprzemiany: jako dobroduszny niedołęga, jako energiczny prawdomówca, jako śmieszny zalotnik, jako zrezygnowany filozof itd. Młodziutka jego wychowanica jest w pierwszych scenach brykającą i nieświadomie zuchwałą „kozą;“ potem nieco rozkochaną *à l'improviste* dziewicą; potem znowu praktyczną osóbką przyjmującą bez zbytniego wzdragania rękę bogatego starca; potem jeszcze serdeczną dzieweczką, oddającą się z wybuchami czułości ukochanemu choć biednemu Dydakowi itp.

Wszystko to, dla innych, oznacza umysł widzący życie i ludzi w czarnych wyłącznie kolorach; dla mnie, jest świadectwem braku talentu i wyrobienia pisarskiego w autorze. Są to podobno pierwsze jego „grzeszki“ — w każdym jednak razie nie można ich nazywać „potrzebnymi.“

Co się tyczy kilku pierwszorzędnych artystów, którzy niefortunnemu debiutantowi użyczali swych talentów, bez pożytku dla niego a ze szkodą dla siebie, należą się im od krytyki słowa prawdziwego — współczucia.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Żniwiarka i siewnik pruski sprowadzone przez obywateli poznańskich. — Czekamy. — Co robi podczas tego Bartek? — Bank ratunkowy dla jego „naturalnych przewodników.“ — Męki Tantala. — Wspomnienie historyczne i jego wartość dla teraźniejszości. — Ustrój złodziejski. — Bankructwa uczciwości. — Środki zapobiegawcze. — Nowy tuzin i nowa asekuracya od strat spodziewanych. — Śpiew optymisty.

Pisma nasze zwróciły swe teleskopy w stronę nieba poznańską i obserwują na jej czarnem tle nową gwiazdę konstelacyę, której znak w zodyaku narodowym ma oznaczać szczęście. Jest to „bank ratunkowy,“ który ma nieść pomoc obywatelom polskim, zadłużonym po pas, i podawać rękę, zagrzęzłym po uszy i wzywającym pomocy niemieckiej. Witam radośnie tę instytucyę, nietylko jako twierdzę przeciwko niemcom, ile jako obronę przeciwko nam samym. Bo chociaż maszyna kolonizacyjna, raz ustawiona przez ks. Bismarka i obsługiwana przez jego czeladź, z pewnością działać będzie energicznie, wytrwale i skutecznie, sami jej twórcy wyznają, że żniwiarka polskości a siewnik germanizmu jest przyrządem za kosztownym i że w jego budowie popełniono kilka błędów

te...hnicznych, które trzeba naprawić, a na prędce uczynić tego nie można. Daleko więc niebezpieczniejszą staje się poprawna gospodarka „obywateli“ polskich, usiłujących sprowadzić tę żniwiarkę na swoje niwy. W gazetach czytamy krótkie buletyny o stanie zdrowia patryotyzmu „przedstawicieli narodu“: „Majątki Swiniary, Świniarki i Imielnik p. Malczewskiego, Jaroszowo p. Katerli starszego — już komisyi kolonizacyjnej sprzedano. P. Katerla młodszy ma także dobra Michalcza na ten sam cel *ofiarować*. *Tak samo* właściciel Mierzewa p. Kaczkowski. Czekamy — mówi zgnębiony dziennik, z którego te nowiny wypisuję — na potwierdzenie tych smutnych wiadomości“—i biedak o kilka wierszy niżej donosi: „Leśnictwo Jeleń w W. Ks. Poznańskiem nabył od hr. Czapskiego ze Smogalek kupiec Bärwald z Nakła za 150,000 marek.“ Ha, czekajmy na „potwierdzenie“ — dobra i chwilka złudzeń, różowej nadziei, że ci, którzy „zawsze na ołtarzu ojczyzny składali ofiary,“ i tym razem złożą... kontrakty sprzedaży „kawałów ziemi.“ Nic nie słychać, co tam podczas tych „ofiar“ robią „nieświadomi swych obowiązków względem kraju“ chłopi poznańscy? Czy idą śladem swych „naturalnych przewodników,“ czy też ulegają „złym poszeptom“ i trwają w uporze? O, głupi Bartku, nie wysłałeś własnych delegatów do parlamentu pruskiego, nie napiętnowałeś tam komisyi kolonizacyjnej, nie zaprzysiągłeś tam z nią walki i dziś walczysz swoją miłością dla ziemi ojczystej? Co cię obowiązuje, mizerny szeregowcu, do stania na wyłomie, kiedy wodzowie sprzedają obóz nieprzyjaciołom? Czyś przed narodem, przed światem całym ślubował, że nie opuścisz swego posterunku? Nic cię nie wiąże, bo nawet uczucia, których ci odmówiono. A jednak stoisz niewzruszony na polu bitwy, jak gdybyś miał ją wygrać bez pomocy hetmanów, wytrzymujesz wszystkie natarcia, jak gdybyś się spodziewał, że kiedyś oprowadzą po literaturze uwieńczonego „Bartka zwycięzcę.“ Jeżeli nie oczekujesz uznania i sławy, o ile nie dostarczysz „strawy armatom,“ skąd u licha czerpiesz siłę moralną, potężniejszą, niż „uświadomione“ obowiązki patryotyzmu twych „naturalnych przewodników?“ Byłeś, Bartku, przez dziesięć wieków zagadką i widocznie nadal nią pozostaniesz. Uśmiechasz cię złośliwie na „bank ratunkowy,“ którego dla ciebie niezaradnego głupca nie założono, a który jest niezbędnym dla ocalenia twoich mądrych i zacnych wodzów? Trudno, bracie, ci, którzy tkają płótno dziejów, nie mogą jednocześnie zajmować się pilnowaniem roli i na przędzę mają duże wydatki.

Ale co też na ów „bank“ mówi komisya kolonizacyjna ks. Bismarka? Także się uśmiecha i powiada: doskonale pomieścimy się oboje, i dla nas i dla nich majątków nie braknie, a przynajmniej przez pewien czas będziemy swobodni od natłoku patryotów, ofiarujących nam swoją ojczyznę; potem zaś kupimy „bank ratunkowy“ — i *finita la comedia*.

Spieszcie się więc ludzie dobrej woli, czułego serca i pełnej kieszeni z założeniem owej instytucyi, bo wielu „obywateli“ nie wytrzyma dłużej wabików kasy germanizacyjnej i padnie w jej objęcia, szlochając nad okrucieństwem pruskiem. Niepodobna tych bohaterów wystawiać na przeciągłą próbę, niepodobna ich dręczyć męczarnią wyboru między workiem niemieckiego owsa i wiązką polskiego siana. Dosyć już chyba okazali patryotyzmu, nie sprzedając swych majątków, kiedy nikt kupić nie chciał; mamyż ich skazywać niewinnie na cierpienia Tantala i pozwolić, ażeby dotykali ustami wody, której im napić się nie wolno? Nie, to byłoby nieludzkiem i uniemożliwiłoby dalsze „tkanie dziejów,“ Co prędzej stanąć winien bank, który będzie ratował ziemian poznańskich od — samych siebie.

Przetrzyjmy szkła teleskopu i zobaczmy drugą jasną gwiazdę, która wynurza się z głębin stropu niebieskiego. Jest to „Reskrypt (pruskiego) ministeryum spraw duchownych, lekarskich i oświaty z 23 grudnia 1822 r. do królewskiej regencyi w Poznaniu.“ Zawiera on następujące aforyzmy: „Nie jest rzeczą konieczną, aby polacy dla języka niemieckiego mieli swój ojczysty zaniedbać lub też nim pogardzać. Religia i język są najdroższemi świętościami narodu, w których ujawniają się jego uczucia i myśli. Każda władza, która je uznaje, szanuje i broni, może być pewną, że zjedna sobie serca poddanych; ta zaś, która okazuje względem nich obojętność lub nawet dopuszcza się na nie zamachów, jątrzy i bezcześci naród, przygotowując sobie złych i niewiernych poddanych. Ktoby myślał, że do kształcenia narodu polskiego przyczyniłaby się germanizacya przynajmniej na polu języka, ten byłby w wielkim błędzie. Wykształcenie jednostki, czy też narodu, odbywać się może tylko w języku ojczystym... Chcieć zabrać narodowi mowę, a z nią cały zasób jego poglądów, natomiast wszczepiać mu obcą, byłoby to zupełnie przewrotną drogą kształcenia jednostki, a cóż dopiero całego narodu, chociażby on nie posiadał nawet tak bogatego, samoistnie wyrobionego i gramatycznie wykończonego języka, jakim, wiadomo, jest polski.“ Odezwa ta (której całkowitą osnowę czytelnik znaleźć może w warszawskiej *Gazecie sądowej* i dziennikach), wydobyta z archiwów, stanowi pożądany grot polemiczny, ale czy nam już może chodzić o zwycięztwo polemiczne? Czy wszystkie dowody rozumowe i faktyczne zdołały—jak Windhorst przewidział—na włos uchylić wyrok zagłady w obradach sejmu pruskiego? Czy kto jeszcze wątpi, że ks. Bismark rozwiązał wszystkie umowy przeszłe względem polaków, że się z nich śmieje całem gardłem tak, jak się śmiał zapewne przed *Holdem* Matejki, jeśli go widział? Reskrypt królewski z 1822 r. nie wart dla niego nawet szeląga — słyszeliśmy przecie to zapewnienie z ust kanclerza wogóle o dawnych zobowiązaniach królewskich. Gdyby więc nawet w barlińskiem archiwum wynaleziono dowód, że Fryderyk W. grywał na flecie polskie patryotyczne pieśni, to dla obecnej chwili niema żadnego znaczenia. Żyjemy w epoce realizmu, w epoce uznania, czci i kultu siły, a historyczność dostarcza nam tylko bajek do bawienia lub straszenia dzieci. Po dwudziestu kilku wiekach cynizm odrodził się po raz pierwszy, ale w jakże zmienionej, wstrętnej postaci!

Przyznać jednak musimy, że epoka ta posiada jednolitość i konsekwencyę rozprowadzoną w najrozmaitszych objawach. Podczas ostatniego miesiąca ukradziono tylko za 200.000 rs. w Warszawie. To niewiele, zważywszy, że ten rodzaj zarobku ma u nas najwięcej zwolenników i najlepszą „organizacyę.“ Solidarność, karność, ścisłość w dotrzymywaniu zobowiązań, akuratność w ich spełnianiu — wszystkie te przymioty są zasłużenie cenione w bandach złodziejskich, dostarczających wzorów życiu „normalnemu,“ którego normalność przejdzie niedługo do ich sfery. Proszę przeczytać opis szturmu policyi do pewnej warszawskiej twierdzy złodziejskiej i bohaterską obronę załogi! Ile tam męstwa, przywiązania do wspólnej chorągwi, wzgardy dla więzienia! Nie brakło nawet tłumu, który podziwiał odwagę Rinaldinich.

Ci jedni dziś nie bankrutują, nawet niezbyt surowa uczciwość prędzej, czy później wali się, nie mówiąc o zbyt skrupulatnej, która chodzić musi nie po szerokim gościńcu, ale po cienkiej linie, zawieszonej nad przepaścią. W ubiegłym tygodniu znowu zginął jeden akrobata — przedstawiciel znanej firmy „S. Dobrycz.“ Długo utrzymywał równowagę swych interesów, nareszcie zagrożony zupełną ruiną, złożył strudzoną kłopotami głowę pod koła biegnącej lokomotywy. Jeżeli takie stare dęby padają, gdzie bezpieczeństwo wątłych sadzonek? Mnożą się też bankructwa handlowe i przemysłowe, a kto nie chce utonąć, wdziewa taki pas korkowy, o jakim opowiada *Kur. warszawski*. Jeden z tutejszych fabrykantów zaproponował swojej czeladzi następujące warunki pracy: 1) ażeby tuzin liczył nie 12, lecz 14 sztuk; 2) ażeby od zarobku strącano 12% na pokrycie strat *spodziewanych*.

Mają racyę moi korespondenci, którzy mi wyrzucają zbytek pesymizmu. Sąchwile szczęścia, rozkoszy. Znam nawet pewnego optymistę, który tak sobie śpiewa:

Nie szemrzę, gdy niebo upusty otwiera
I chmury szat brudnych deszczami wypiera
A wody na ziemię wylewa.
Nie sykam, gdy białe obłoki znów swoje
Rozpostrze wyżęte, a susząc ich zwoje,
Wiatrami chłodnymi przewiewa.
Nie klnę go, gdy zimą przygasi gorące
I jasne ognisko wszechświata, gdy słońce
Odsunie daleko od ludzi.
Nie bluźnię, gdy ziemię przemoczą wskróś [deszcze,
Gdy ona śród wichrów uczuwa wciąż dreszcze
A mróz jej pierś śnieżną wystudzi.
Bo moja najdroższa jest latem bez przerwy,
Co świeci i grzeje i stroi mi nerwy
Miłością w wyrazie, zachwytem w oddechu.
Mam w licach jej kwiaty, mam w włosach jej [wonie,
Mam skwary i blaski, gdy wzrok jej zapłonie
Pogodę w czarownym uśmiechu.
Mam nieraz i chmurki a nawet i burze,
Mam rosę poranną z łez w oczu lazurze,
Mam wreszcie i długich rzęs cienie.
To bieda jedyna, że w ślicznem mem lecie,
Jak zwykle w upalnem!— mam przy tej kobiecie
I — nienasycone pragnienie.

Czy ten człowiek nie jest szczęśliwym? Że ma „pragnienie?“ Nie żałuję go, bo zapewne czasem je gasi, nawet nie przeczę mu, bo tacy i tylko tacy dziś mogą wznosić i wychylać kielichy z Anakreontowym śpiewem.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Górą podpalacze, blada koulokradom. — Czy mamy na wyścigi z Bismarkiem wykupywać dobra w Poznańskiem od dzisiejszych właścicieli? — Co poznańczycy robią, a o czem prasa nie donosi — Niemieckie szwedry na naszej mowie. — Projekty.

Prawda li to, czy nie prawda? Powiatu mławskiego połać graniczna tak ciężko dotknięta jest zarazą pożarową (w przeciągu jednego miesiąca było *szesnaście* pożarów na przestrzeni kilku mil kwadratowych), że lud przerażony uchodzi z całemi rodzinami, dobytkiem, zbożem itd. w pola i tam obozuje pod gołem niebem, z uszczerbkiem dla zdrowia i gospodarstwa, byle się tylko zabezpieczyć od ognia. Donosi o tem *Korespondent płocki*, nadmieniając o wieści, krążącej wśród ludu, jakoby wszystkie te pożary były dziełem właścicieli lasów po stronie pruskiej położonych, którzy chcąc ożywić handel materyałem budowlanym, wynajęli kilku wytrawnych złoczyńców i płacą im za każde podpalenie. Pogloskę tę powtórzyć miały zagraniczne dzienniki.

Czytając takie szczegóły, wydaje się, jak gdyby dla nas trwał jeszcze wiek osiemnasty, kiedy to wielki król pruski kazał bić w pogranicznych miastach fałszywe polskie talary i kiedy w ościenne polskie ziemie wysyłał gromady drabów, którzy młodych mężczyzn przemocą, uwozili i robili z nich pruskich żołnierzy. Miesz-

kańcy Szreńska zbierają składki, żeby straż ogniową założyć i zawiązują towarzystwo wstrzemięźliwości. Bardzo to ładne zamiary, ale czyby nie było możliwem ostrzej się do podpalaczów zabrać, stróżów nocnych zaprowadzić i wzmocnić dozór moralny pomiędzy sobą? Prawda, że o to podniesienie karności społecznej bardzo trudno tam, gdzie rak przemytnictwa toczy ludność.

Odmienne nieco wieści dochodzą ze wschodnich kresów. Powiat święciański stał się polem popisu dla t. z. koniokradów. Tylko tam już okres zalęknienia przeminął, ustępując miejsca okrutnej przeciw złodziejom zawziętości. W przeciągu kilkunastu miesięcy tuzin złoczyńców padł ofiarą zemsty chłopskiej. Tego powieszono za nogi, tamtemu ręce ucięto, innych zabito pałkami. W kilku wypadkach sądy karne uniewinniły włościan, oskarżonych o ten doraźny wymiar sprawiedliwości. Amerykańska samopomoc przeszczepia się tedy na grunt nasz, wszelako te jej objawy nie mogą wesołych myśli wywoływać.

Instytucya do ratowania ziemi w Poznańskiem niezadługo już ujrzeć ma światło dzienne. Trudno taić niepokój o losy tego przyszłego nowonarodzonego. Kraj z ofiarnością pospieszy, mimo coraz cięższych warunków bytu. Ale trzeba, żeby ta ofiarność nie była zmarnowaną. „Kupno i parcelacya“ radzą jedni, „kupno i zarząd przez ludzi zaufanych“ — radzą drudzy. Nie chcąc przeczyć skuteczności obu tych rad, a zwłaszcza pierwszej z nich, zwróciłbym uwagę poznańczyków na działalność i rozwój pomyślny galicyjskiego stowarzyszenia rolniczego, które podnosi gospodarstwa rolne materyalnie, starając się jaknajmniej zmieniać właścicieli. Nabywa ono długi lichwiarskie i obniża procenta, bada maszyneryę gospodarczą i wpływa na jej poprawę, bądź drogą rad i wskazówek, bądź drogą czynnej pomocy przez opłaconych fachowców, słowem podtrzymuje tych, którzyby inaczej upadli. Kupno w takim tylko wypadku może być pożądanem, gdy właściciel jest zniedołężniałym lub zgangrenowanym członkiem społeczeństwa, którego należy w imię publicznego dobra usunąć z posterunku jak najprędzej.

Ofiarność ogółu naszego nie zawiedzie — to pewna. Czemu jednak nie słyszymy o czynionych przez poznańczyków ofiarach? Czemu pisma tameczne nie donoszą o sprzedaży karet, koni cugowych, o zmianie trybu życia?

Byłaby to prawdziwie męska, prawdziwie patryotyczna odpowiedź na wszystkie policzki, jakich szlachcie polskiej nie szczędził Bismark. Wszak objawy podobne w Poznańskiem istnieją! muszą istnieć! Toćże ci ludzie, to nie same trupy, czekające, czy rychło po nich zajedzie niemiecki karawan. Czemuż więc prasa milczy o tych domowych sprawach, które dziś publicznemi się stają? Dla przykładu, dla otuchy, dla zachęty, należy koniecznie zapisywać nawet drobiazgi w tym kierunku dostrzegane. Opatrzenie sposobów zmniejszenia osobistych wydatków powinno stać się przedmiotem narad sąsiedzkich, niemniej gorliwych, jak polepszenie uprawy roli i hodowla inwentarza. O tych wszystkich rzeczach oczekujemy szczegółowych doniesień. Dziś słyszymy tylko wciąż obijające się o uszy nazwiska ludzi, którzy „niemcom kraj po kawałku sprzedają, jak niegdyś ojcowie ich sprzedawali kraj hurtownie,“ a z drugiej strony wiemy, że ziemie, prusakom podległe, wyłącznie przez pruskich poddanych zarządzane być mogą. Jeżeli same tylko karty z czarnej księgi obywatelstwa poznańskiego dochodzić nas będą, o ileż cięższą stanie się każda ofiara!

Mozolną pracę odskrobania i wymiecenia niemieckiej pleśni już nie z ziemi, ale z mowy naszej podjęła *Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza*. Na dziesięciu czytelników ukształconych nie wiem, czy jeden zrozumie, co jest *futro czopowe*, co są *wangi* i tym podobne dziwolągi.

Wspomniana *Gazeta* prowadzi stały dział pod nagłówkiem: „Słowniczek wyrazów technicznych,“ który wypełnia właśnie takimi *futrami* i *wangami*, dodając do nich opisy i polskie nazwy odpowiednie. Tak więc *futro czopowe*, jest to obsada, opatrzona przedłużeniami, które tworzą rodzaj uszów i służą do umocowania tejże obsady w murze. Proponowana polska nazwa jest „obsada uszasta.“ „Wangi“ są boki, w które się schody wpuszczają. Mniej może udatnie obmyślano, żeby je zastąpić przez „szaragi“ i „policzki.“ Znaczna część posiewu, przez *Gazetę* rzucanego, padnie na opokę oczywiście, a niewiele tylko plony wyda. Życzymy jej tej przyjemności, aby owe plony, choć szczupłe, mogła oglądać.

Ciekawym projektem obdarzyła nas *Gazeta warszawska*. Idzie o to, aby „mieszczanie, kupcy, kapitaliści, urzędnicy nawet,“ wytrzęśli z węzełków drobne kapitały, „leżące bezczynnie“ i posprawiali sobie na spółkę majątki i administratorów. Ponieważ w kraju ani majątków do zbycia, ani kandydatów na administratorów nie braknie, więc tylko patrzeć, jak projekt wejdzie w życie. Bo naturalnie mieszczanie, kupcy, kapitaliści i „urzędnicy nawet“ z największą chęcią swoje drobne kapitały owym administratorom powierzą. Oczywiście, zawiadywanie nabytemi dobrami obejmą ludzie, którzy zarządzając poprzednio majątkiem własnym, dowiedli, że pojmują wymagania związane z wysokiem, obywatelskiem stanowiskiem. Wprawa nabyta w szlachetnem traktowaniu mizernych kwestyj materyalnych, odda im nieocenione usługi w nowym zawodzie.

Kuryer warszawski przyniósł pocieszającą dla ziemian wiadomość o zawiązaniu spółki, mającej założyć biuro kaucyonowane do załatwiania interesów ziemiańskich, a mianowicie *pośredniczenia* w sprzedaży majątków ziemskich, lasów, w kupnie i sprzedaży zboża, inwentarza, maszyn, w parcelowaniu, regulacyi służebności itp., ale co najważniejsza, biuro *będzie pożyczało* ziemianom pieniędzy na 7% rocznie, z czego 2% wypadnie na amortyzacyę. Funduszu na to dostarczy pożyczka *4 milionów franków*, ofiarowana przez jednego z bankierów.

Czemuż *Kur. warsz.* trzyma światło pod korcem? Czemu nie wyjawi nazwisk tych obywateli, którzy złoty deszcz milionów franków z tak dogodnymi warunkami na kraj sprowadzili? Wieniec zasługi tym panom i pomnik jeszcze, jeśli właściwym obrotem kapitałów zagranicznych doprowadzą do powiększenia zbiorów z pól, a zmniejszenia zbiorów z hypotek i weksli. Niestety, godzi się wątpić o prawdziwości całej tej cudownej historyi.

Łatwiej już uwierzyć temu, że jakiś obywatel zwaryował z uszczęśliwienia, podniosłszy z banku należne mu 18,000 rubli i rodzina musiała ubezwłasnowolnić biedaka, bo się za prędko zaczął z tym funduszem załatwiać; albo że ktoś drugi, patryota z płockiego, na złość Bismarkowi, żeby do Monaco nie jeździć, przegrał na miejscu w karty, w ciągu jednej nocy, 50.000 rubli, stanowiących posag żony, oraz wieś ojcowską. Nazwisko tego pana wydrukowałbym bez skrupułu, gdyby go dyskretna prasa nie była pod skromnem X. ukryła.

K. Zbrucki.

NA WSCHODZIE.

Przed kilku tygodniami *Niediela*, organ t. z. „narodników,“ zrobiła zarzut prasie rosyjskiej, że zajmuje się wyłącznie prawie sprawami zewnętrznemi, pomijając wewnętrzne, które jednak inteligentna część społeczeństwa interesują daleko więcej, aniżeli przebieg sprawy bułgarskiej. Uwaga ta wywołała obszerną polemikę, która podzieliła dziennikarstwo rosyjskie na dwa obozy. Stała się nawet rzecz nieprzewidziana. *Nowoje Wremia* przyznało słuszność *Niedieli*, co z pewnością dowodzi, że zdanie tego pisma musi być w zgodzie ze zdaniem poważnej większości czytającego ogółu, jeżeli chorągiewka, wskazująca siłę i kierunek różnych powiewów, zwróciła się w jego stronę. O obronę prasy, a raczej własnego domu, namiętnie podjęły *Nowosti*. Organ ten nawracającego się i żałującego za grzechy liberalizmu wystąpił z całym szeregiem artykułów, w których usiłuje dowieść, że wogóle podział spraw na wewnętrzne i zewnętrzne niema żadnej podstawy. „Dla państwa wszystkie sprawy są wewnętrznemi“ — woła nacyonal-liberał petersburski, zapominając o tem umyślnie, że przeciwnicy jego mówili nie o państwie, lecz o społeczeństwie. Powoławszy na świadectwo cień Piotra Wielkiego i wspomnienia czasów Mikołaja I, kiedy cała literatura zajmowała się tylko przedmiotami artystycznymi i naukowymi, oraz polityką zagraniczną, *Nowosti* twierdzą, że ta ostatnia okoliczność nie przeszkodziła wcale wspaniałemu rozkwitowi umysłowości rosyjskiej i sił społecznych w epoce reform po 1860 r. Wesoły neofita prawowiernego optymizmu zarzuca wreszcie przeciwnikom swoim ciągłe „jęczenie“ i bezpłodne kręcenie się koło spraw wewnętrznych, obok braku wiary w postęp, obok zwątpienia o nauce, negowania cywilizacyi i zwrotu do „stanu pierwotnego.“ Uwagi te poniekąd byłyby słuszne, gdyby zwrócono je przeciw skrajnym dążeniom „samobytności“ narodowej, ale w danym razie *Nowosti* zmieszały rzeczy zupełnie nienależące do sprawy. Jest to nieudatna „wolta“ dziennikarska, którą odrazu podpatrzyła *Zaria* kijowska.

„Po prostu nie wierzysz własnym oczom, czytając to bezmyślne zestawienie „polityki“ z „nauką i cywilizacyą Europy“ — powiada dziennik kijowski. Sprawy zagraniczne dla poważnego organu opinii publicznej są równoznaczące z Europą, jej nauką i cywilizacyą. W jakim słowniku wyczytaliście takie określenie polityki? *Nowosti* powinnyby wiedzieć bodaj o tem, że historya dyplomatyczna nie jest właściwie historyą i że zwracanie szczególnej uwagi na rokowania dyplomatyczne, odbywające się w Europie, jest właściwie ignorowaniem Europy, jej nauki i cywilizacyi.“ *Nowosti* sądzą, mówi dalej *Zaria*, że „około swoich spraw wewnętrznych możemy tylko *kręcić się* (toptat'sia), tymczasem rozbierając sprawy polityki zewnętrznej, działamy praktycznie. Niestety, trudno przedstawić sobie, jakie praktyczne rezultaty osiągnąć można za pomocą zapalczywego roztrząsania wypadków bułgarskich w pismach rosyjskich. Na chwilę nawet nie wątpimy, że droga, po której kroczy rząd rosyjski w tej sprawie, wykreślona została bez udziału prasy i że kierownicy naszej polityki zagranicznej w tym wypadku mniej niż w innych liczą się ze zdaniem dzienników.“

O słuszności tego poglądu przekonamy się zaraz.

„Panowie, gdzież jest nareszcie *Komitet słowiański?*“ — woła jedna z gazet petersburskich.

Istotnie komitet słowiański, czy też, jak się nazywa teraz, Towarzystwo słowiańskie, milczy i nie daje znaku życia. *Nowosti* i w tym wypadku twierdzą, że brak oddźwięku ze strony społeczeństwa w „najwewnętrzniejszej ze wszystkich spraw wewnętrznych“ — sprawie bułgarskiej, kiedy ważą się losy idei słowiańskiej, świad-

czy o tem tylko, że komitet się przeżył, że ta forma wyrażenia zdania ogółu jest dzisiaj już zbyteczną. Ale komitet słowiański i przed wojną turecką nie był bardziej czynnym, wtedy jednak w chwili ożywienia społeczeństwa, stał się poniekąd wyrazem jego dążeń. Trafną jest uwaga, że w latach ostatnich ze słowianofilstwem połączyły się inne zupełnie żywioły, ale wątpić można, czy ta zmiana, „która dała mu siłę realną,“ która przygłuszyła „utopijne doktrynerstwo,“ jest zmianą na lepsze, przynajmniej pod względem moralnym. „Jeśli pośród ludów słowiańskich zauważyć można oziębienie uczuć względem Rosyi, jeżeli tam tak zwane stronnictwa rosyjskie nie mają znaczenia i są prześladowane, czyli, mówiąc dokładniej, jeżeli wśród słowian mogły powstać partye cudzoziemskie — wszystko to jest wynikiem ślepego, doktrynerskiego, niezdolnego do rozwoju słowianofilstwa, od którego słowianie chętnie przyjmują pomoc w postaci rubla i siły fizycznej, ale od opiekuńczych więzów i objęć starają się uwolnić przy pierwszej możności. Słowianie wybornie wiedzą, jak i my, co znaczą te szumne frazesy, z którymi występuje zawsze słowianofilstwo.“ Bardzo słusznie, ale czy rezultaty te zależą od „ślepego doktrynerstwa,“ lub czy też czasem nie od tej „realnej siły,“ jaką słowianofilstwu dały „nowe żywioły“ w rodzaju nawróconych liberałów? Cała bez wyjątku prasa rosyjska karci „niewdzięczność“ bulgarów, ale żaden dziennik nie miota się na nich z taką wściekłością, nie obrzuca ich taką pogardą, nie domaga się tak głośno okupacyi i zniesienia samodzielności bulgarskiej, jak to czynią *Nowosti*. „Jakie zasługi położyli bulgarzy, żeby robić sobie z nimi ceremonie“ — pyta organ liberalny, no i nie robi też ceremonij wcale, wymyślając „bratuszkom“ od rozbójników, oszustów i łajdaków (swołocz). Przy takiem rozwiązaniu sprawy, jakie proponują *Nowosti*, istotnie komitet słowiański niema nic do czynienia i jeżeli milczy, to fakt taki mówi tylko na jego pochwałę.

Komitet jednak milczy z innych powodów, z tych samych, dla których społeczeństwo rosyjskie o tyle interesuje się żywo sprawą bułgarską, o ile w związku z nią stoi pytanie: czy będzie pokój, czy wojna? Sprawa bułgarska należy do zakresu tych, które całkowicie pozostawione być muszą działaniom rządu, zarówno ze względu na swój charakter, jak i wskutek ustroju państwowego Rosyi. Tutaj właśnie wszelkie uwagi prasy byłyby bezpłodnem kręceniem się w kółko.

W całej polemice prasa rosyjska pojmuje sprawy wewnętrzne bardzo ciasno, jedynie tylko jako praktyczne. Ale i w tym ograniczonym zakresie oddziaływanie opinii publicznej miałoby widoki powodzenia daleko większe, aniżeli szumne artykuły o polityce zagranicznej. Te ostatnie wtedy tylko przynoszą korzyść, jeżeli oświetlają zagadnienia szerzej, jeżeli wyprowadzają z nich wnioski natury ogólnej, wpływające na uświadomienie myśli społecznej. Takie znaczenie miały owe artykuły polityczne w dziennikarstwie rosyjskiem z czasów Mikołaja I, ale czyż można porównywać z nimi kilkuszpaltowe korespondencye z Massowy, szczegółowe sprawozdania o rewolucyi w Madrycie, albo powszechną nagankę na „niemiecko-polskiego“ awanturnika? „Dydaktycznego“ traktowania spraw zewnętrznych nie wyrzekają się chyba i „narodnicy“ z *Niedieli*, ale nie o niem tu mowa; istota sporu polega na tem właściwie: czy prasa powinna oddziaływać na społeczeństwo, czy tylko zaspakajać jego ciekawość? Współpracownik *Nowosti* p. Michniewicz (Kołomienskij Kandid) zabiera właśnie głos w tym przedmiocie, z artykułu jego wiele skorzystaćby mogła redakcya pisma, wyjaśniłby jej bowiem przyczyny przeważnego zajmowania się wypadkami zewnętrznymi. P. Michniewicz zaznacza, że poziom prasy obniżył się znacznie w porównaniu nietylko z epoką poprzedzającą, ale i poprzedniemi okresami dziejów umysłowości rosyjskiej. „Dziennikarstwo zamieniło się na cyniczny handel prawdą i kłamstwem, sławą i niesławą, dobrobytem ludu i jego nędzą.“ Nie można objaśnić tego faktu tylko za pomocą demokratyzacyi oświaty: „Nie w tem leży złe, że prasa *wyszła na ulicę* i zaczęła szukać czytelników wśród inteligentnego tłumu, ale że zniżyła się do dzikich poglądów tej gawiedzi, że zaczęła przemawiać w jej żargonie, że podchlebia jej ciemnym i nizkim instynktom i tym sposobem zamiast oddziaływania pouczającego, demoralizuje i mąci w głowach masy.“ Główną przyczyną takiego stanu rzeczy, według autora, jest zobojętnienie panujące wśród warstwy inteligentnej i brak wiary w ideały zbiorowe. Upadek literatury jest jednym z najsilniejszych argumentów aktu oskarżenia przeciw inteligencyi rosyjskiej, żyje ona tylko chwilowymi porywami „myśli niewolniczej,“ po których następują „apatya, rozstrój umysłowy i sen.“

„Niedawno jeszcze czytelnik żądał od pisma idei, określonego kierunku, uczciwości i prawdy. Dzisiaj na rynku dziennikarskim niema popytu na te rzeczy i nie rachują się z niemi wcale. Niedość tego, wedle przekonania popularnych swawolników dziennikarskich, wierność zasadom utożsamia się z tępością umysłową i trzymaniem się przesądów, stałość kierunku — z głupotą, uczciwość i prawda — ze śmiesznym pedantyzmem. Rozkiełznany czytelnik z całej duszy śmieje się z tego nikczemnego błazeństwa i wydrwiwania warunków, jakie posiadać powinno każde, zasługujące na szacunek pismo; czytelnik ten cieszy się, że własna jego czczość i rozpusta znajdują tak łaskawe usprawiedliwienie w prasie i przyklaskuje ulicznikowskiej swobodzie myśli i uczuć, jako jedynej mądrości, właściwej umysłom niezależnym.“

P. Michniewicz wykazuje dalej, że czytelnik współczesny szuka tylko w prasie zaspokojenia swej ciekawości. Otóż zepsuty — szuka jej w pornografii i skandalach, obojętny — w nowinach zagranicznych, w battenbergiadach itd. Taka jest istotna przyczyna, wskutek której sprawy zewnętrzne zajmują tyle miejsca w organach „popularnych.“

J. L. Popławski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ciekawy proces rozegrał się w Niemczech. Poseł Singer wspomniał w sejmie, że rząd pruski utrzymuje szpiegów, którzy pod przybranemi nazwiskami wciskają się w związki robotnicze i namawiają towarzyszów do przestępstw. Obiecał on nawet wskazać winowajcę i świadków. Wezwany przez prokuratora, wymienił niejakiego Ihringa, który pod pseudonimem Mahlowa przyjmował udział w obradach socyalistów, pobudzał ich do „czynu,“ a nawet uczył przygotowywania dynamitu. Pomimo, że świadkowie potwierdzili fakty, dwaj robotnicy, którzy odkryli niecną operacyę Singerowi, zostali skazani za „potwarz.“ Dopiero sąd wyższy zdjął z nich karę, a tem samem przyznał istnienie t. z. „agents provocateurs,“ którzy wychowują sobie przestępców, ażeby mieli kogo łapać.

Nieszczęśliwa ofiara gwałtu urzędnika kolejowego w Skierniewicach, nauczycielka G., po długich cierpieniach zmarła. Śmierć była chyba najjaśniejszą chwilą w ostatnim akcie życia tej biedaczki.

Godne uwagi, pochwały i szerszego zajęcia przedstawienie dał p. Konopka, który w Resursie obywatelskiej z pamięci, z zachowaniem cech odmiennych między charakterami, bez pomocy innych środków prócz głosu, wypowiedział całą tragedyę Gutzkowa: *Uriel Akosta*. Powodzenie artysty było zupełne, zasługiwało jednak co najmniej na tylu słuchaczów, co występy niemca Strakoscha.

Konkurs nowy na pomnik Mickiewicza już został ogłoszony. Warunki: postać poety, jako narodowego wieszcza, winna przeważać; główna figura, dodatkowe ozdoby i grupy mają być z bronzu, części architektoniczne z granitu; koszta 100,000 złr.; przyjmowane będą tylko projekty rzeźbione lub w gipsie $1/_{10}$ rzeczywistej wielkości; termin ostateczny 31 sierpnia 1887 r.; pierwsza nagroda — 3,000 złr., druga — 1.500, trzecia — 1,000.

Kongres psychiatrów odbył się w Berlinie. Z odczytanego na nim referatu d-ra Sandera okazuje się, że liczba obłąkanych i idyotów w Niemczech ciągle wzrasta, najbardziej zaś powiększa się podczas upadku ekonomicznego.

Reforma służby leśnej w Królestwie. Lasy rządowe podzielone będą na okręgi, pod zarządem leśniczych, otrzymujących 1,000 rs. pensyi oprócz mieszkania, 30 morgów gruntu i opału. Pomocnik leśniczego ma pobierać 600 rs., mieszkanie, 20 morgów gruntu i opał, praktykanci 150 do 300 rs. rocznie. Na każde 5 okręgów ustanowiony będzie rewizor z pensyą 1,800 rs. Przy mianowaniu na posady pierwszeństwo mają dawniejsi leśnicy i osoby, które otrzymały wykształcenie specyalne.

Dobry pomysł. *Gazeta przemysłowo - rzemieślnicza* dołączać będzie bezpłatnie tablice rysunkowe, zawierające wzory i modele dla różnego rodzaju rzemiosł.

Dobry początek. Niejaki Glücksmann, zarządzający kopalnią węgla w Milowicach, za to, że odmówił objaśnień członkom komisyi rządowej i opierał się wprowadzeniu przepisów prawa o robotnikach fabrycznych, z rozporządzenia władzy odstawiony został do granicy pruskiej i wydalony na zawsze z państwa rosyjskiego.

Zmiana. Wskutek odezwy kuratora okręgu naukowego warszawskiego, ministeryum spraw wewnętrznych poleciło, ażeby w szkole, znajdującej się w kolonii karnej dla małoletnich przestępców w Studzieńcu, wykład nauk, z wyjątkiem religii i języka polskiego, odbywał się po rosyjsku, oraz żeby pomocnik dyrektora i nauczyciele mianowani byli tylko po porozumieniu się z władzą naukową.

Rozruchy antiżydowskie wybuchły, jak donosi *Warsz. Dniewnik*, w miasteczku Nowogrodzie, gub. łomżyńskiej.

Ernest Renan wydał w tych dniach nowy dramat filozoficzny p. t.: *L'abbesse de Jouare.*

Bibliografia. *Sprawozdanie meteorologiczne* za miesiąc lipiec 1886 r. Warszawa.

Odczyty. W listopadzie na rzecz kasy imienia Mianowskiego urządzony będzie cały szereg odczytów z dziedziny nauk przyrodzonych. Dr Bujwid: „O bakteryach jako fermentach i czynnikach chorobotwórczych,“ p. Siemiradzki: „Wulkany i ich rola w ogólnem gospodarstwie przyrody,“ p. Ciemniewski: „O powstawaniu i przebiegu burz,“ p. Stolcman: „Obraz życia zwierzęcego w lasach dziewiczych Ameryki południowej,“ p. Dziewulski: „Źródła elektryczności,“ p. Boguski: „Związek pomiędzy pracą chemiczną i elektryczną,“ p. Milicer: „Galwanoplastyka,“ p. Dziewulski: „Światło elektryczne.“ p. Kramsztyk: „Elektryczność i jej zastosowania,“ p. Dziewulski: „Indukcya i maszyny dynamo-elektryczne,„ dr Jędrzejewicz: „Elektryczność powietrza,“ dr Dobrzycki: „Elektryczność zwierzęca i zastosowanie elektryczności w medycynie,“ p. Jan Kozłowski: „Historya przemysłu górniczego w Polsce.“

Nowe pismo. Jakiś izraelita zamieszkały w Łodzi, wydawać tam zamierza pismo codzienne w języku rosyjskim.

Biblioteka im. Ossolińskich we Lwowie posiadała w r. z. dzieł drukowanych 83,080, rękopisów 3,119, dyplomatów 923, monet i medali polskich 8,010, innych zabytków 2,015. Z pracowni naukowej korzystało 2,292 osób, w czytelni przeznaczonej dla szerszej publiczności było 23.765 czytelników. Muzeum wreszcie odwiedziło 2,063 osób.

Premium. Towarzystwo zachęty sztuk pięknych daje w r. b. członkom swoim jako premium *Stańczyka* Matejki, w miedziorycie, wykonanym przez znakomitego artystę Henryka Redlicha.

Handel żywym towarem. Dziennik *La Plata Post* podaje spis kilkudziesięciu handlarzy, wyłącznie prawie żydów z Galicyi i Królestwa, którzy za pomocą oszustwa zwabiają młode dziewczyny w Europie i wywożą je do południowej Ameryki, aby sprzedać do domów rozpusty. Niektórzy z tych łotrów prowadzą handel na szeroką skalę, ofiary ich liczą na setki.

Obfite źródła nafty odkryte zostały w Irlandyi, w hrabstwie Sligo.

Ks. Galeoti, zabójca arcybiskupa madryckiego, pomimo że lekarze uznali go za obłąkanego, skazany został na śmierć.

Fałszywa odezwa rozesłaną została do wielu gmin powiatu cieszanowskiego w Galicyi. Brzmi ona tak: „W imieniu cesarz Franciszka Józefa wzywa się gminę, aby zarządziła przygotowania na d. 29 września 1886 r. godzinę 9 wieczorem, a to w celu, aby mogła przynajmniej 100 młodych i dzielnych parobków, opatrzonych kosami i hakami wysłać do Cieszanowa celem mordowania i plądrowania żydów, którzy o tym czasie z powodu nowego roku żydowskiego są zawsze razem. Tę rzeź uchwalono i zarządzono zarówno ze strony sejmu krajowego, jak ze strony Rady państwa, a została ona usankcyonowaną przez monarchę.“ Na odezwie znajduje się doskonale naśladowany podpis starosty. Na szczęście władze dość wcześnie dowiedziały się o sprawie i przedsięwzięły odpowiednie środki ostrożności. Autora odezwy nie wyśledzono, aresztowano tylko 15-letniego chłopca, który ją przepisywał.

Zmarli. Jan Nowiński, nauczyciel języka polskiego w Krakowie i muzyk. Zasługą jego jest ustalenie terminologii muzycznej polskiej, której jednak nikt prawie nie używa.

— Matylda Luckner, powieściopisarka niemiecka.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Din. w Warsz. *Kur. warsz.* miesza mowę, która nie jest tworem logicznym, z pisownią, która logiczną być winna. Język nasz każdemu przedmiotowi przypisuje płeć, bo i rodzaj nijaki ma w naturze swoją odpowiedniość. Jeżeli ktoś rozumuje, że zniesienie różnicy w przyp. 6 liczby mnogiej wymagałoby zniesienia jej w 1-ym tejże liczby, to czemuż nie posuwa konsekwencyi dalej, aż do przyp. 1-go liczby pojedynczej? Równouprawnienie wobec przymiotników jednego *kołka* z jednym *synem* (dobry kołek i dobry syn) a nierównouprawnienie dwu *kołków* i dwu *synów* (dobre kołki i dobrzy synowie) jest nielogicznością języka przyjętą, której pisownia zmienić nie może. Ale w przyp. 6 l. mn., gdzie mowa zwyczajna nie zachowuje różnicy, odróżnianie żywotnych od nieżywotnych jest zbytecznem, nie stanowi kwestyi naukowej, lecz czysto praktyczną. Co do wiadomego artykułu — kto inny i pochodzenie wyrazu inne.

M. M. M. Nie możemy, a powód odgadł Pan w drugiem przypuszczeniu.

Henr. K. K. Czytaj Pan wzorowych poetów i prozaików — to najlepsze podręczniki dobrego stylu.

P. T. Gr. „Zawsze“ bierzemy w obronę? Nie, wtedy tylko, kiedy widzimy gwałt i niesprawiedliwość. Nie czyń bliźniemu itd. O tem przykazaniu powinniśmy pamiętać bardziej teraz, niż kiedykolwiek, bo jeżeli my przemawiać będziemy za nierównouprawnieniem, to jakiem czołem zoprotestujemy, gdy ta zasada przeciwko nam się zwraca? Rady pańskie co do asymilacyi były w *Prawdzie* nieraz wypowiadane. Ale zważ Pan, od kogo ich spełnienie zależy? Redukcya liczby szynków w Warszawie, gdyby nawet była w naszej mocy, nie osiągnęłaby moralnego skutku, a „uczciwi“ szynkarze są taką samą mrzonką, jak wspaniałomyślni lichwiarze. Znajdują się — w powieściach.

P. Hen. Jak. Prosimy o zgłoszenie się do redakcyi naszej w sprawie wiadomego wiersza.

P. Andrz. Lud. Przy liście żadnej dramatycznej fantazyi nie odebraliśmy.

P. Ludwikowi N. Szukaliśmy w pracy Pańskiej talentu — i nie znaleźliśmy.

J. P. w Kijowie. Bobrzyńskiego.

Albertowi G. Liche masz Pan wyobrażenie o naszej sumienności w rozdawnictwie grosza publicznego, przypuszczając, że go Panu udzielimy na prośbę bezimienną. Prawo do zasiłków mają u nas studenci nietylko niezamaskowani, ale nadto zupełnie wylegitymowani z niedostatku.

P. Zd. w Warszawie. Domysł pański mylny zarówno co do autora, jak i jego pseudonimu. Objaśni sam.

P. Feliksowi L. w Chemn. „Teleologia“ jest to teorya celowości w naturze, przenikająca pewne systemy filozoficzne, a przyjmująca we wszechświecie plan z góry ułożony, według którego wszystko ma swój cel i do niego w ogólnej prawidłowości świadomie lub bezwiednie dąży.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. J. H. z Koroczy rs. 1; bezimiennie rs. 8; Dr. J. z Syberyi rs. 50; Roman Szyszło rs. 1; W. J. rs. 1; niezamożna rodzina kop. 10.

Ogłoszenia.

Wielu nowych abonentów naszych wyraziło chęć posiadania poprzednich bezpłatnych dodatków *Prawdy* a niemożność nabycia ich po dotychczasowej cenie. Ulegając temu życzeniu, dla nowych (od 1 października) abonentów, *którzy co najmniej opłacą prenumeratę półroczną*, zniżamy cenę wszystkich dodatków *o połowę*, tak, że one kosztować będą:

Pypin: *Kwestya polska* (kilkanaście tylko egzemplarzy) kop. 50 (zam. rs. 1).

J. Brandes: *Główne prądy literatury XIX w.* rs. 3 (zamiast rs. 6).
Ekonomia polityczna rs. 1 kop. 50 (zam. rs. 3).

Liard: *Logika* kop. 50 (zamiast rs. 1).

Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (zeszyt I) kop. 25 (zamiast 50).

Zniżenie zatem ogólne wynosi rs. 5 k. 75.

Uwaga. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla. Naturalnie, dla nieabonentów *Prawdy* cena owych dzieł pozostaje dawniejszą.

Na początku roku przyszłego wyjdzie nakładem naszym w tłomaczeniu polskiem epokowe dzieło amerykańskiego badacza Morgana (z objaśnieniami Marxa i Engelsa), którego olbrzymią wartość wykazywaliśmy szczegółowo w jednym z artykułów *Prawdy* — p. t.:

PIERWOTNE SPOŁECZEŃSTWO

czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Dzieło to, które dało nową podstawę badaniom naukowym, mające przeszło 40 arkuszy druku, w drodze prenumeraty kosztować będzie tylko rs. 3., z przesyłką rs. 3 k. 30. Po wyjściu książki cena jej zostanie znacznie podwyższoną.

Przy Administracyi *Prawdy*, która od tygodnia mieści się w oficynie tegoż domu na pierwszem piętrze (wejście na prawo) urządzona będzie nasza

KSIĘGARNIA,

załatwiająca wszelkie zlecenia interesantów co do kupna i sprowadzania książek oraz prenumeraty pism. Abonenci *Prawdy* w Warszawie mogą przesyłać nam swoje żądania piśmiennie, a my im żądaną książkę odeślemy do domu, gdzie jej cenę zapłacą. Również z prowincyi przyjmujemy odpowiednie obstalunki.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekscie rs. 1 kop. 80.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki) Szkice i Obrazki, **tomów cztery** z portretem autora rs. 5.

W ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Smoleński Władysław. Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne kop. 60.

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, Złota 23.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Октября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.